Nr. LVI Listopad 1937

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 9.27-61

Druk. „LECH", Warszawa, Koszykowa 33. Tel. 8.90-66.

2

TREŚĆ:

O czem nasi ukrainiści zapomnieli lub nie wiedzą?

Starsi, pamiętający dobrze czasy przedwojenne, widocznie zapomnieli, a młodsi widocznie nie wiedzą. Jedni i drudzy bowiem strzelają w obecnych dyskusjach nad sprawą ukraińską albo uczonymi cytatami z dzieł, odnoszących się do czasów bardzo dawnych, albo dorywczemi projektami z własnej głowy, które stanowić mają jakgdyby rewelacje dla najnowocześniejszej praktyki w dziedzinie polsko-ukraińskiej. Na takich podstawach, a więc przedpotopowych lub ultra-nowoczesnych, wysuwają jedni i drudzy całe litanie postulatów, które rząd i społeczeństwo polskie powinny spełnić, aby zadowolić Ukraińców i zaprowadzić między obu narodami upragniony przez polskich ukrainistów stan „zgodnego współżycia". A więc znaczne pomnożenie szkolnictwa wyłącznie ukraińskiego, stworzenie Ukraińcom uniwersytetu, dwujęzyczne napisy na stacjach kolejowych i drogowskazach, wydatniejsze poparcie ukraińskich organizacyj gospodarczych i kulturalnych, przyciągnięcie Ukraińców do urzędów państwowych i otwarcie im tam drogi do wyższych stanowisk i t. d. i t. d.

W razie spełnienia tych postulatów — „sprawiedliwością dyktowanych" — zapewniają polscy ukrainiści, że zapanuje w Małopolsce Wschodniej jeżeli nie raj ziemski, to już co najmniej zadawalający modus vivendi.

Ale — rzecz dziwna — jedni i drudzy, starzy i młodzi, operując aż zanadto sprawnie „faktami" z dawnej historji lub najnowocześniejszymi postulatami, pomijają zupełnie najważniejszą epokę w rozwoju ukrainizmu, mianowicie historję ostatniego ćwierćwiecza b. Galicji Wschodniej przed wojną światową. A przecież w tym właśnie okresie i na tym obszarze, w napół już autonomicznej Galicji, mógł się jedynie rozwinąć i rozwinął się ukrainizm do tych rozmiarów, w jakich go dziś widzimy, a nawet poniekąd znacznie więcej.

Dokładniejsza znajomość tego okresu — lub dokładniejsze

jego przypomnienie — wykazałoby odrazu polskim protagonistom sprawy ukraińskiej, że wszystkie, wysuwane przez nich postulaty były oddawna w b. Galicji Wschodniej spełnione i to nawet w szerszym jeszcze zakresie.

Przedewszystkiem stanowcze przechylenie się rządzących wówczas Galicją czynników i sfer polskich na stronę Ukraińców — mimo wszelkich wybryków, kłopotów i skrytobójczych strzałów z ich strony — a przeciw galicyjskim Rusinom moskalofilom. Gładcy, układni i towarzysko wielce kulturalni byli ówcześni moskalofile, w przeciwieństwie do wiecznie niesfornych, awanturujących się, wywołujących zamieszki, a czasem nawet sięgających po nóż lub rewolwer ukraińskich hajdamaków. A jednak przywódcy galicyjskiej polityki, a za nimi szerokie sfery polskiego społeczeństwa stanęły po stronie Ukraińców, rozumując słusznie, że Ukrainiec to tylko Scylla, która wiele sprawia szkód i przykrości, ale Moskalofil to awangarda Charybdy, która mogłaby Polaków i Rusinów całkowicie pochłonąć.

W konsekwencji popierano rozwój ukrainizmu, powstały setki i setki powszechnych szkół wyłącznie ukraińskich, gimnazja ukraińskie, wreszcie przy Uniwersytecie Lwowskim pierwsze katedry z ukraińskim językiem wykładowym, jako zalążek projektowanego już uniwersytetu ukraińskiego, którego odrazu w całokształtcie nie można było stworzyć poprostu dlatego, że brakło wówczas jeszcze odpowiednio wyszkolonych sił profesorskich dla uzupełnienia wszystkich wydziałów.

Dalej pamiętam dobrze, że na wszystkich stacjach i drogowskazach były napisy w dwóch językach i że wybitni Ukraińcy zajmowali liczne stanowiska w urzędach, sądownictwie i różnych instytucjach oficjalnych, dochodząc tam nawet już do wpływowej rangi hofratów. Jeden z Ukraińców zajął nawet wysokie stanowisko prezesa Sądu Apelacyjnego — z czem złączony bywał zwykle tytuł ekscelencji. Wreszcie, w ostatnim czasie przed wojną, podjęto z polskiej strony głośną wówczas kampanję za rozszerzeniem prawa wyborczego do Sejmu galicyjskiego, zwłaszcza w zakresie sprawiedliwszego, niż przedtem, zapewnienia dla ludności ukraińskiej większej ilości mandatów.

A wszystkie te, rosnące z każdym rokiem korzyści i prerogatywy dla stosunkowo młodego wówczas jeszcze ruchu ukraińskiego dała mu wcale nie „Austrja“, jak się to dzisiaj zdawkowo twierdzi w powszechnej nieznajomości faktów, ale rządzący wówczas Galicją Polacy, a w pierwszym rzędzie dwóch

ludzi, którzy w ciągu ostatniego ćwierćwiecza mieli w tej prowincji faktyczną władzę w ręku, t. j. Michał Bobrzyński i Stanisław Badeni (sen.) — pierwszy z nich jako długoletni i wogóle pierwszy przewodniczący Rady szkolnej krajowej, następnie namiestnik, wreszcie minister dla Galicji, a drugi jako również długoletni marszałek Sejmu i zwierzchnik samorządu galicyjskiego, w którego kompetencjach leżało specjalnie np. szkolnictwo powszechne. Otóż Michał Bobrzyński trzymał, jak powszechnie wiadomo, stronę Ukraińców w sposobie bezwzględnie zdecydowany, przewidując zwłaszcza zbliżający się moment wojny z Rosją. Marszałek Badeni zaś był jeszcze większym ukrainofilem, a ponieważ obu tych ludzi łączyła długoletnia przyjaźń z ławy szkolnej, więc zgodność, równoległość i realna skuteczność ich ukrainofilskiej polityki była tem bardziej zapewniona.

Przedewszystkiem zaś — o czem dzisiejsi ukrainiści polscy niechże raczą nie zapominać — obaj ci kierujący losami Galicji ludzie mieli także i *faktyczną władzę* w ręku — przeprowadzenia dla ruchu ukraińskiego tego wszystkiego, co za wspólnem porozumieniem zamierzyli. O ile zaś chodziło o sprawy, leżące w kompetencji centralnego rządu wiedeńskiego, jak np.: tworzenie ukraińskich katedr uniwersyteckich lub tak doniosła dla ukraińców sprawa, jak mianowanie hr. Andrzeja Szeptyckiego metropolitą grecko-katolickim, to rząd wiedeński z reguły wnioski te zatwierdzał.

Tak więc niechże współcześni nasi popieracze ukrainizmu nie występują naiwnie ze swemi postulatami „sprawiedliwości i zgodnego współżycia", gdyż wszystkie te postulaty zostały w Galicji spełnione, nawet w daleko większym zakresie. Nie kompromitujcie się, panowie, wobec Ukraińców karygodną nieznajomością całkiem niedawnych dziejów!

Ale z jakimże to wrogiem musiał toczyć zacięty bój cały ten ukrainofilski kierunek, reprezentowany w pierwszym szeregu przez Michała Bobrzyńskiego i Stanisława Badeniego?

Oczywiście z ruskimi moskalofilami, którzy przybrali potem nazwę Starorusinów. Ale daleko większy opór stawiła narodowa demokracja oraz sprzęgająca się z nią stopniowo, coraz bardziej, wschodnio-galicyjska szlachta konserwatywna, czyli t. zw. „Podolacy".

Endecja stawiła zacięty opór ze względów zasadniczych, programowych, zwłaszcza od chwili, gdy pod przewodnictwem Romana Dmowskiego przekreśliła w r. 1905 całą swą poprzednią

taktykę i charakter, rzucając się pod stopy carskie i widząc w tem jedyny „realny“ środek zbawienia narodu polskiego. W konsekwencji poparła ona ruski ruch moskalofilski w Galicji. A Podolacy poszli tą samą drogą ze względów skrajnego oportunizmu: ponieważ Ukraińcy mają wśród siebie wiele żywiołów niesfornych i sprawiają większym właścicielom ziemskim różne kłopoty w postaci strejków rolnych, podpalenia tu i tam jakiejś sterty i t. p., a moskalofile są to ludzie na zewnątrz spokojni, kulturalni w obejściu, więc egoizm i materjalizm ziemiański dyktuje oczywiście popieranie moskalofilów przeciw Ukraińcom, a tem samem namiętne zwalczanie Badeniego, a zwłaszcza Bobrzyńskiego.

Jakiż z tego wszystkiego wyniknął ostateczny rezultat?

Oto przedewszystkiem użyli Podolacy wraz z endecją wszelkich możliwych, a nawet i niemoralnych środków, aby wywrócić Michała Bobrzyńskiego i to w chwili, gdy za zgodą Ukraińców i większości stronnictw polskich doprowadzał już do skutku rozszerzoną — także i na korzyść Ukraińców — reformę wyborczą sejmową. Nie zawahano się nadużyć w tym celu nawet autorytetu kleru i religji, wciągając je perfidnie w wir walk i intryg politycznych, chociaż jasnem było, że religja i Kościół nie były taką sprawą w niczem dotknięte, ani naruszone. W dalszej zaś konsekwencji z chwilą wkroczenia do Galicji wojsk rosyjskich ofiarowała nieprzytomna w swem moskalofilstwie endecja złotą szablę wodzowi rosyjskiemu, a szlachta podolska, po ogłoszeniu przez cara we Lwowie, iż „rdzennie rosyjskie to miasto powraca po wieczne czasy na łono swej moskiewskiej macierzy“, wydała ów osławiony manifest anty-legjonowy, który pozostanie na wieczne czasy niewymazalnym dokumentem nowoczesnej Targowicy.

I oto dzisiej — w niesłychanej ironji koziołków dziejowych — bezpośredni epigoni tejże szlachty podolsko - galicyjskiej, których ojcowie, dziś jeszcze w znacznej liczbie żyjący, ciskali gromy na ukrainizm, a płaszczyli się przed carem i popierali moskalofilstwo, rzucają się na mnie, syna Michała Bobrzyńsskiego i na moje wydawnictwo, przybrani nagle w pompatyczne togi obrońców ukrainizmu i rzeczników przeciw mnie ukrainofilskich postulatów!!!

Trudno zaiste o większą komikę dziejową!

Do cara, mości panowie, do cara z waszymi „postulatami“! Nie wam uczyć mnie, czego potrzeba Ukraińcom, których ojco-

wie wasi zniszczyć chcieli z korzeniem i pogodzili się z myślą o „rdzennie rosyjskiej" Galicji aż po Dunajec! A jeżeli dziś w Rosji nie panuje car, lecz Stalin, to już wasz kłopot, a nie mój.

Tych faktów żadne wasze dzisiejsze sielankowe frazesy nie wymażą.

Ale — zapyta zdumiony czytelnik, mniej świadom tych niedawnych dziejów — czem tłumaczą się aż tak olbrzymie i szybkie przewroty pojęć bądź co bądź pewnej społecznej elity? Wczoraj nienawiść do Ukraińców i oklaskiwanie cara, a dziś nagle apostolstwo postulatów proukraińskich i skupianie się dokoła skrajnie względem ukraizmu oportunistycznego „Biuletynu polsko-ukraińskiego" przeciw akcji Naszej Przyszłości, która ani z Moskwą, ani z Siczą nie chce mieć nic wspólnego?

Wyjaśnienie bardzo proste: jedynie i wyłącznie kwestja eweutualnych strejków i podpalania stert przez Ukraińców. Sprawa czysto kieszeniowa.

Pod panowaniem austryjackim podpalali sterty Ukraińcy, popierano więc moskalofilstwo i bito bezmyślnie w ukrainofilskich Polaków. W wyzwolonej Polsce, gdzie zabrakło po wsiach wschodnio-galicyjskich autorytetu austryjackiego żandarma (n. b. przeważnie Polaka), który sterty i folwarki chronił przed czerwonym kogutem i gdy obecnie już moskalofilizm stracił swe znaczenie, nakazuje oportunizm polityczny łasić się Ukraińcom za wszelką cenę, nawet za cenę godności narodowej, aby tylko raczyli nie podpalać stert i folwarków.

Jak więc przed wojną światową, tak i po wojnie najgłębszą sprężyną „polityki" polskiej elity w b. Galicji Wschodniej był i jest doraźny materjalizm gospodarczy, pozbawiony w istocie swej zarówno szczerości wobec tamtejszego społeczeństwa ruskiego i wobec ruchu ukraińskiego, jak wogóle wszelkiej głębszej myśli politycznej, należycie uzasadnionej prawdziwą polską racją stanu.

A jakiż rezultat osiągnęła już przed wojną, a tem bardziej po wojnie życzliwa dla ukrainizmu polityka polska w samem społeczeństwie ukraińskim?

Nie osiągnęła niestety żadnego. Cały olbrzymi, pełen poświęcenia wysiłek lat kilkudziesięciu, podjęty przez rozumne i sprawiedliwie myślące polskie sfery, z szeregiem wybitnych polityków na czele, podjęty uczciwie dla dobra sprawy ukraiń-

skiej — traktowanej przez nich jako sprawa bratnia, zgodna z racją stanu także i polskiego narodu — podjęty z zaparciem się wbrew hasełkowej, szowinistycznej, ukrainożerczej opinji znacznej części Polaków, pozostających pod wpływami narodowej demokracji, nie tylko poszedł na marne, ale rozzuchwalił nawet rozwijający się pod opieką galicyjskich władz krajowych ukrainizm, który w miarę swego wzrostu i wpływu na spokojną wogóle ludność ruską przybierać zaczął coraz bardziej wrogie wobec Polaków oblicze, a w końcu sięgnął do noża i rewolweru. I rzecz dziwna i wielce znamienna: wzmagający się z wyraźną a wydatną polską pomocą ukrainizm skierował ostrze swych występnych wybryków, a nawet zbrodni, nie przeciw swym polskim przeciwnikom, t. j. — endecji i Podolakom — lecz właśnie przeciw swym polskim przyjaciołom oraz przeciw wyjątkowym, poważnie myślącym Ukraińcom, którzy pragnęli również zgody z Polakami.

O ile pamięć nas nie myli, nie padały w tych zmaganiach żadne trupy wrogów ukrainizmu, żadnego endeka lub Podolaka nie trafiła kula hajdamacka, a natomiast padł od niej szereg ofiar z pośród sfer polskich i ruskich, pracujących szczerze na korzyść ukrainizmu i ukraińsko-polskiej zgody.

Jest to może jedyne w swym rodzaju zjawisko na świecie: naród, dążący do odrodzenia, kieruje jawną niechęć i skrytobójczą broń nie przeciw swym wrogom, ale przeciw przyjaciołom. Logika ta osobliwa, a samobójcza dla ukrainizmu staje się zrozumiałą jedynie tylko na podłożu negatywizmu, który niesie ze sobą i nieść musi tradycja i mentalność siczowo-hajdamacka. Obranie sobie siczowego rabusia — Kozaka, zupełnie bezproduktywnego w sensie moralnym i państwowo-twórczym, za ideał narodowy, z upartem podeptaniem wszelkich lepszych, pozytywnych tradycji wielkiego narodu ruskiego, musiało przepoić nowoczesnych Ukraińców podobnym negatywizmem wobec własnej, ruskiej racji stanu. Odgrzano sztucznie, przeniesiono na teren galicyjski i rozdmuchano do szaleństwa ideję zbójeckiego gniazda siczowego. A taka dziwaczna i ze wszech miar szkodliwa, prawdziwie donkiszocka koncepcja jest w nowoczesnych warunkach przedewszystkiem śmiesznym anachronizmem. Pomija nadto fakt zasadniczy, który dla wszystkich polityków i innych działaczy ukrainizatorskich winien być błyszczącem memento: że mianowicie kozacka idea rozbójnicza, bezproduktywna, zapędziła Kozaków w końcu do służby carskiej, do roli moskiewskich siepaczy, zdobywających i uciska-

jących dla cara i wielkorosyjskiej koncepcji liczne narody — od Wisły, Bałtyku, Czarnego Morza i Kaukazu aż po brzegi Oceanu Spokojnego i Lodowatego.

Chwila rozumnej refleksji historycznej musi przywieść na myśl każdemu, do tej refleksji wogóle zdolnemu, że na takiej tradycji i takim faktycznym rezultacie nie podobna budować żadnej twórczej idei odrodzenia ruskiego narodu!

Dlatego błędne z gruntu, a z tępym uporem propagowane założenie narodowego odrodzenia i wyzwolenia z pod obcych rządów narodu ruskiego za pomocą sztucznie odgrzanej koncepcji i ideologji kozackiej przyniosło w praktycznym rezultacie zasadniczą nienawiść nowokreowanych Ukraińców do Polski, zrodziło wśród nich tezę, że „niczego nie należy przyjmować od Lachów", lecz wszystko na nich tylko zdobyć, a jeżeli się coś z ich rąk nawet przyjmie, to do niczego to Ukraińca wobec Lacha nie obowiązuje, ale żądać trzeba wciąż coraz więcej i więcej, aby doprowadzić żądania ad absurdum i mieć wreszcie przez to pretekst do „patrjotycznych" mordów skrytobójczych. Założenie to sprowadziło także wnet wyznawców hajdamactwa siczowego do szukania oparcia, czyli wzorem dawnych Kozaków: do poddawania się różnym obcym mocom, Niemcom, Czechom, masońskim agenturom, nawet kowieńskim machinacjom, w gruncie rzeczy wrogim zarówno ukrainizmowi, jak wogóle ruskiemu narodowi, ale wrogim także państwu polskiemu i polskiej kulturze.

Wzorem więc chmielnicczyzny, a potem służącego carskiemu imperalizmowi Kozactwa poddają się dzisiejsi Ukraińcy — mimo ich wszelkich frazesowatych zapewnień przeciwnych, którym tylko naiwni i duchowo słabi wśród Polaków mogą uwierzyć — obcym potencjom, stając się na ich żołdzie znowu narzędziem osłabiania i niszczenia Polski, a więc tej jedynej, prawdziwej ostoi dla idei zmartwychwstania Wielkiej Ukrainy. Bo jasną jest rzeczą jak słońce, że nikt inny na świecie, oprócz przewidujących przyszłość pewnych sfer polskich, nie pragnie na serjo powstania suwerennej Ukrainy, a już najmniej pragną tego Czesi i szowinistyczni Litwini kowieńscy oraz organizacje masońskie. Niemcy zaś wprawdzie chętnie widzieliby powstanie jakiegoś „Hadenbandu" (jak pogardliwie wyrażali się o Ukrainie w czasie wojny światowej), lecz oczywiście tylko pod niemieckim protektoratem i władzą, jako narzędzia przeciw Polsce i Rosji, jako wielkiej kolonji dla zaspokojenia niemiec-

kiego „Drangu nach Osten". Bo wiadomo przecież z nauki niemieckiej geopolityki, że stara Ruś, a zwłaszcza kijowszczyzna, to dziedzictwo normandzkie — to ziemia „rdzennie niemiecka"...

Słowem — rezultat zdecydowanie ukrainofolskiej polityki różnych miarodajnych sfer galicyjskich, a potem ogólno-polskich okazał się stanowczo ujemnym. Szereg polskich i ruskich trupów „ugodowych" i morze nienawiści, ziejącej ku Polsce z wszystkich sfer ukrainizatorskich, potwierdzają tę niezbitą prawdę, której dorywcze, z gruntu nieszczere, prawdziwie hajdamacką hytrością przesiąknięte komedje normalizacyjne i ugodowe na arenie oficjalnej, zwłaszcza sejmowej, zaprzeczyć nie są w stanie. Doszło wreszcie do tego, że dotychczasowi najwięksi protagoniści i publicyści rozkładają ręce, kapitulując z rozwiązania polsko-ukraińskiego problemu i przepowiadając „nową chmielnicczyznę".

A skoro taki bilans przyniosły ukrainofilskie, ugodowe za wszelką cenę starania — którym autor niniejszego artykułu, idąc po linji Michała Bobrzyńskiego, aż do roku 1934 stanowczo hołdował*) — to jasnem mi się wydało, że sprawa ta wymaga w d z i s i e j s z y c h w a r u n k a c h nowego, całkiem odmiennego startu, nowej koncepcji. Zamiast walić z uporem głową o mur, który przez dziesiątki lat okazał się nie do rozbicia, a o który rozbijały się i krwawiły nadaremnie najlepsze polskie i rozumniejsze ruskie głowy, trzeba w tym murze szukać poprostu ukrytych drzwi i klucza, któryby przejście mógł otworzyć.

A klucz ten leży w umiejętności podniesienia na wyższy, prawdziwie europejski poziom psychiki ruskiego społeczeństwa i w dopomożeniu mu tem samem do objęcia rzeczywistej roli twórcy własnego państwa oraz współtwórcy — w odpowiednim momencie dziejowym — polsko-ruskiego zespołu mocarstwowe-

---

*) Kłamstwem bowiem jest powierzchowne twierdzenie „Diła" i niektórych innych wydawnictw polskich i ruskich, jakoby „Nasza Przyszłość" zajmowała od początku nieprzychylne dla ukrainizmu stanowisko. Przypominamy wstępny artykuł w tej sprawie, ogłoszony w naszym wydawnictwie już w r. 1930, p. t. „Problem Wielkiej Ukrainy", potem szereg dalszych, zdecydowanie sprawie wielko-ukraińskiej przychylnych artykułów, wreszcie zamieszczone w tem piśmie całkowite polskie tłumaczenie słynnej, a mocno krytykującej także i polską politykę rozprawy ks. Biskupa Chomyszyna p. t. „Ukraińska problema" i t. d.

go, którego formy na razie oczywiście trudno przesądzać, ale który wydaje nam się wprost koniecznością dla wspólnej, polskiej i ruskiej, racji stanu i bytu.

Jeżeli zaś ma to nastąpić i powinno — i to oczywiście na zasadzie pewnego rodzaju unji wolnych z wolnymi i równych z równymi — i przywrócić ziemi „ukrainnej" jej wielce doniosłą rolę najbardziej na wschód wysuniętej strażnicy europejskiej kultury przeciw atakom eurazjatyckiego barbarzyństwa, to musi w pierwszym rzędzie nastąpić szczere, głębokie, na prawdzie historycznej i zdrowym rozsądku oparte samouświadomienie narodu ruskiego, że był i jest nie czemś innem, ale... narodem ruskim! Tym wielkim narodem ruskim, który wcześniej od Polski przyjął chrześcijaństwo, wytworzył ośrodek wysokiej kultury w „złotym Kijowie" i wywarł ongiś znaczny wpływ sprzymierzeńczy na rozwój polityczny i kulturalny także i państwa polskiego. Przygnieciony na pewien czas mongolską nawałą, przetrwał ją jednak naród ruski wyniszczony, ale nie zniszczony i odradzać zaczął się szybko pod opieką i w ogólnych granicach mocarstwa polsko-litewskiego.

A odradzał się tak, że chociaż odrębność swą i w pewnym sensie nawet autonomię narodową wywalczył sobie na drodze spokojnej, naturalnej ewolucji i Akademja kijowska błyszczeć zaczęła jako wymowny dowód i centrum kultury, to jednak naturalna więź tak silną się stała między Polską a Rusią, że dwa nawzajem szanujące się narody stanowiły jedność polityczną i wspólna legenda chwały okryła wybitnych mężów po obu stronach (Konstanty Ostrogski i wielu innych). Naród ruski, bynajmniej nie zagrożony supremacją polskiej kultury, rozwijał swą własną, był z niej dumny, miał swych własnych magnatów i bogate miasta handlowe, słowem — szedł w przyszłość wielkimi krokami.

I oto nagle wszystko to załamało się i wypaczyło najazdem Kozactwa siczowego. Najazd ten przyniósł w rezultacie daleko gorsze skutki, niż długoletnia mongolska niewola. Zniszczył bowiem w mentalności ruskiego społeczeństwa myśl pozytywną, zdolność państwowo-twórczą i „skozaczył" cały naród, t. j. wbił w jego umysły pęd do „permanentnej rewolucji", do bezmyślnej negacji względem własnej racji stanu, a wyidealizował kult bezproduktywnie krwawiącego się ustawicznie noża. Bo i cóż innego mogło wlać w naród ruski rozbójnicze, łupieskie kozactwo? A ponieważ ten brak wszelkiej pozytywnej idei,

wszelkiej zdolności państwowo-twórczej u Kozaków musiał ich w końcu obniżyć do roli niewolników i siepaczów na służbie Moskwy, a częściowo do lokajskiej służby u szlachty polskiej, więc w naturalnej konsekwencji cały naród ruski — obrawszy sobie za ideał bandyckie bohaterstwo siczowe za zgubnym wpływem swych poetów i fabrykujących sztuczną historję pisarzy— znalazł się i poczuł się w stanie faktycznej niższości wobec innych narodów, wychowanych na tradycjach pozytywnych, a przedewszystkiem oczywiście wobec Polaków.

To poczucie niższości u Rusina wobec Polaka jest więc czemś całkiem naturalnem. W ogólnej bowiem psychice współczesnego Rusina pod wpływem kozacko-ukraińskiego zastrzyku tkwi podświadome, mimowolne uczucie służebnej roli „pańskiego" lub warcholskiej roli siczowego Kozaka. A tego uczucia nie są w stanie wykorzenić w mentalności rusko-ukraińskiej żadne sztuczne środki, żadne historyczne fabrykaty Lipińskich i tym podobne, żadne nominacje rozbójniczych watażków na pułkowników szkockich, żadne płody skozaczonej poezji czy muzyki, żadne masłosojuze i cały współczesny rozpęd spółdzielczy i polityczno-gospodarczy wogóle. Nic to wszystko nie pomoże — jak nie pomogą żadne sztuczne, efemeryczne „normalizacje" i inne złudne eksperymenty na arenie parlamentarnej—bo zukrainizowany Rusin, choćby w najwytworniejszą ubrał się marynarkę, nawet we frak i złożył sto deklaracji, pozostanie w głębi duszy wiecznym Kozakiem, dziś rozmawiającym z Polakiem po europejsku na „herbatce ugodowej", jutro gotów bez żadnego skrupułu pchnąć spisą tego samego Polaka.

Tak jest dotąd i zdrowy rozsądek, wolny od narkozy złudzeń, nie jest w stanie tej smutnej rzeczywistości zatuszować. Przeciwnie — nakazuje odsłonić ją w całej nagości, bez sielankowych lub oszukańczych frazesów. Zukrainizowany, skozaczony Rusin jest istotą — ogółem biorąc — niższą od Polaka, choćby tu i ówdzie wykazał większy spryt w prowadzeniu kooperatyw i innych geszeftów gospodarczych.

Niższość tę może zrzucić z siebie Rusin wówczas dopiero, gdy wyzwoli się z pod narkozy kozackiej legendy, zepchnie siczownictwo i całą chmielnicczyznę do ich właściwej roli pewnego, burzliwego incydentu dziejowego o charakterze pospolitego najazdu, dokonanego przy pomocy kolejno tatarskiej, moskiewskiej i tureckiej, poczuje się Rusinem i wkroczy na

drogę przerwanego owym najazdem i jego skutkami rozwoju.

Śmiesznem, absurdalnem jest mniemanie zukrainizowanych Rusinów, że właśnie ta ukrainizacja, ta adoracja kozaczyzny chroni ich przed rusyfikacją. Wszak fakta wykazują, że dzieje się wprost przeciwnie, zwłaszcza od chwili, gdy Kozacy przeszli na służbę Rosji, zmieniając się na jej konnych lancknechtów. Konwulsyjne trzymanie się nazwy „Ukrainiec" jest też śmieszne i samobójcze, gdyż słowo to nie jest bynajmniej tylko sprawą nomenklatury (jak nam to ruscy Ukraińcy i polscy ukrainiści usiłują tłumaczyć), ale kwestją zasadniczą, gdyż nazwa ta pociąga za sobą całą tradycję kozacką i zmienia do gruntu najrdzenniejsze podłoże historyczno-polityczne oraz psychiczne Rusina. W walce więc o nazwę — Rusin czy Ukrainiec — chodzi nie o prosty kaprys nomenklatury, ale bezwarunkowo o całą przyszłość i los narodu ruskiego.

Jakież więc wyjście praktyczne z tego problemu?

Przedewszystkiem stanowcze odrzucenie wszelkich herbatkowych ugodowości, wszelkich eksperymentów wojewódzkich czy starościnńskich na ziemiach kresowych o ludności mieszanej i wszelkiej, na wskroś zakłamanej literatury „naukowej", fabrykowanej przez „wybitnych znawców przedmiotu" ze strony ruskiej i polskiej dla oczywistych celów przechytrzającej się wzajemnie polityki. Uczone cytaty i dokumenty należy odpowiednio potraktować, jak na to zasługują. Wiemy bowiem dobrze, jak zakłamane są „dokumenty" wszelkiej współczesnej historji, a cóż dopiero dotyczące dawnych dziejów, kiedy prawdziwa krytyka historyczna jeszcze nie istniała i prawie każdy kronikarz był na służbie jakiegoś mocodawcy. Nie imponują nam więc wcale dawne lub nowsze szpargały z zakresu historji polsko-ukraińskiej, które najczęściej łżą w żywy pień, ile się zmieści. Prawdziwa, objektywna historja polsko-ruska czeka wciąż jeszcze na sumiennego autora.

Natomiast winna i musi powstać w łonie społeczeństwa ruskiego krytyczna szkoła historyczno - polityczna, którąby w społeczeństwie tem wykonała podobne zadanie, jak historyczno-polityczna szkoła krakowska w polskiem społeczeństwie. Analogja położenia i potrzeb obu narodów — Polski w rozbiorach i dzisiejszej Rusi — rzuca się sama w oczy. Obecna adoracja „sławnych dziejów" kozaczyzny, jako niby kotwica ratunku narodowego, jest dla przeszłości Rusinów tak samo szkod-

liwa, jak była ongiś dla Polaków fantastyczna idea cierpiętnictwa i rzekomego odkupicielstwa za winy innych narodów. Smętne to cierpiętnictwo, rozdmuchiwane przez poetów i pisarzy mistyków, a nawet malarzy, przedstwiających niewinną Polonię — dziewicę w wieńcu cierniowym, przykutą do skały, a nad nią trzy sępy, rozmiękczała i rozmazgajała naród polski, którego jedna część oddała się ślamazarnym marzeniom, a druga pogrążyła się w poziomym materjaliźmie geszefciarskim (vide Masłosojuz!) w mniemaniu, że wekslami można naród odrodzić. Rezultat był wprost przeciwny: społeczeństwo zaczęło się tak rusyfikować, że z chwilą wybuchu wojny światowej nie było w stanie zrozumieć zasadniczej konieczności czynu zbrojnego, ale przyzwyczajone do wygody gospodarczej i złotego runa, wystąpiło w znacznej swej części zdecydowanie przeciw tworzeniu armji polskiej.

Zbawienny wyłom w tej mazgajskiej lub geszefciarskiej mentalności zrobiła dopiero krytyczna szkoła krakowska, chociaż skutki jej odziaływania nie były w okresie wybuchu wojny jeszcze tak silne, aby mogły skonsolidować już wówczas cały naród w jednolitem dążeniu do naprawy. Ale zrobiły w każdym razie dużo, obalając fałszywe legendy, krusząc sztuczne bałwany t. zw. „świętości narodowych", które polegały w gruncie rzeczy na podświadomej adoracji stosunków z okresu najgłębszego upadku dawnej Rzeczypospolitej, a więc złotej wolności i anarchji.

Dopiero więc, gdy szkoła krakowska przejechała biczem po rozfantazjowanych umysłach, odsłaniając rzeczywistą prawdę dziejową i wskazując tem samem twarde, ale realne drogi Naprawy Rzeczypospolitej, naród polski — mimo wszelkiego swego miotania się przeciw tej prawdzie i głoszącej ją szkole — zaczął nabierać na nowo, podświadomie, zdolności państwowotwórczych. Dziś rezultaty twardej szkoły narodowego rechunku sumienia i dążenia do naprawy ogarnęły już tak dalece całe polskie społeczeństwo, mimo wszelkiej kontragitacji upartych staroendeków, że Polska nie jest już... tworem sezonowym. Nie jest nim właśnie dlatego. Ma nawet aspiracje mocarstwowe, co w atmosferze mazgajskiego cierpiętnictwa i bez pędu do naprawienia ciężkich błędów przodków, w atmosferze fałszywych legend nie byłoby możliwem.

Takiego samego bicza trzeźwej krytyki historycznej, powstania identycznej szkoły i ruchu potrzebuje zukrainizowane fał-

szywemi, samobójczemi legendami społeczeństwo ruskie. Wszak społeczeństwo to upadło psychicznie już tak głęboko, że wstydzi się swej prawdziwej nazwy narodowej, odrzuca w niezrozumiałej psychozie wielką, choć dramatyczną, lecz wielce pouczającą linję swych rdzennych dziejów, a zapożycza sobie jakieś sztuczne nazwy i tradycje od międzynarodowego gniazda banitów i awanturników siczowych oraz od rozmazgajonej poezji i literatury rozbiorowej. Analogja z przeżyciami Polaków idzie tak daleko — ale u Rusinów stokroć więcej jeszcze przesadzona — że hajdamacka adoracja skrwawionego noża znajduje z polskiej strony pewien, coprawda wyłącznie tylko poetycki oddźwięk rozpaczy w Chorale Ujejskiego.

W konkluzji twierdzimy stanowczo, wbrew wszelkim współczesnym wypadom powierzchownie politykierskim lub nie mniej powierzchownie publicystycznym — że pierwszą, najpilniejszą rzeczą, której narodowi ruskiemu w tej chwili najbardziej potrzeba i na co światlejsze umysły w tym narodzie zdobyć się muszą, jest wyłonienie z siebie szkoły i ruchu ruskich „stańczyków". Bez tego, bynajmniej nie teoretycznego, ale na wskroś praktycznego czynu, wszelkie wysiłki normalizacyjne czy ugodowe z polskiej i ruskiej strony, wszelkie koncepcje centralnego rządu w Warszawie, czy wojewodzińskie, czy starościńskie, czy parlamentarne, czy prywatne będą absolutnie daremne. Może powiedzie się komuś tu i ówdzie jakąś chwilową, doraźną ugodę „zborowską", czy „hadziacką", czy modernistycznie herbatkową, czy wyborczą doprowadzić do skutku. Ale wnet ugoda ta rozsypie się w proch w rękach jej twórców. Tak dzieje się przecież z reguły co najmniej od pół wieku, a jest to chyba okres aż nadto wystarczający, aby otworzyć oczy nawet najupartszym z Polaków i Rusinów, że hajdamacki ukrainizm i Polska to ogień i woda, które nigdy z sobą pogodzić się nie dadzą. Kto jeszcze nie wierzy, niechże sobie zdrów dalej eksperymentuje i podlizuje chytrym hajdamakom. Z prawdziwem współczuciem spoglądać będziemy na tę, tępo-upartą, absolutnie beznadziejną szarpaninę.

Pogodzić się natomiast może z Polską odrodzona Ruś, przy wspólnem potępieniu wszystkiego, co pachnie Siczą i rozbójniczym Kozactwem. Z odrodzonym i ucywilizowanym na szlachetnych tradycjach ruskim narodem łatwo się Polska porozumie i to tem łatwiej, że dzisiejsza Polska, to nie owa dawna, rządzona przez skrajny egoizm możnowładców i szlachty.

Dzisiejsza Polska ma już pełną świadomość błędów nieopatrznej polityki swych przodków, a z drugiej strony, dla Rusinów, wszelkie przyczyny, które wywołały wojny kozackie, już dawno przecież nie istnieją. Dlaczego więc odgrzewać reminiscencje nieistotne?

Czy więc przyznać Ukraińcom to wszystko, czego żądają? Odpowiadamy wyraźnie: Ukraińcom nie, Rusinom tak. Bo zukrainizowani Rusini, wykorzystają wszystko co otrzymają, łącznie z uniwersytetem, przeciw Polsce i z tem większym rozpędem porozumiewać się będą z obcemi mocami przeciw nam, lecąc sami w przepaść i przez to samo wzmacniając pośrednio rosyjsko-bolszewickiego kolosa. Niech potępią Kozaczyznę i mentalność hajdamacką, niech wykażą na serjo pragnienie odrodzenia Rusi i stania się prawdziwie europejskim narodem, niech dadzą przez to pewną rękojmię (bo same słowa nic nie znaczą), że wspomagane przez nas odrodzenie tej Rusi skojarzy się ze wspólnem przygotowaniem się obu narodów do walnej rozprawy z Moskwą, niech zlikwidują swe stosunki i placówki antypolskie w Niemczech, Czechach i t. p. — a wówczas otrzymają stopniowo wszystko, co może im Polska dać na razie w obecnych swych granicach i dopomogą nam tem samem do zlikwidowania w naszem społeczeństwie tych szowinistycznych tendencji, które w politycznym swym programie postawiły sobie za cel forsowną asymilację polskich obywateli ruskiej narodowości. Każdy rozumnie myślący Polak musi uważać za niemoralny absurd program tego rodzaju. Ale dopóki panować będzie w ruskiem społeczeństwie bojowy ukrainizm i hajdamaczyzna kozacka jako „ideał narodowy", to szowinistyczne tendencje endeckie i pokrewne znajdą wśród Polaków zawsze żer, przekonywujący szersze masy.

Stąd drogowskaz konkretny dla obu stron i dla polskich czynników miarodajnych:

Obok załatwiania doraźnych spraw i „kawałków" urzędowych w taki sposób, jaki w bieżących okolicznościach okaże się chwilowo możliwym, zerwać z wszelkiemi eksperymentami porozumiewawczymi z ukrainizmem, strzec pilnie, aby ukrainizm ten nie zdobywał chytrze ludności ruskiej i ziem polskich od Łemkowszczyzny po Wileńszczyznę — co planowo czyni — ograniczyć niezmiernie szkodliwą w realnych skutkach działalność gospodarczo-polityczną polskiego magnata i ukrainizatorskiego Metropolity, Andrzeja hrabiego Szeptyckiego i Kapi-

tuły Świętojurskiej we Lwowie, będącej niejako wojennym sztabem generalnym bojowego ukrainizmu, a natomiast poprzeć rodzącą się już w pewnych jednostkach ruskich, o wysokim wykształceniu, szkołę rewizjonizmu historyczno-politycznego mocną, zdecydowaną ręką. Niech zbudzi się Ruś, a zniknie kozacka Ukraina!

To jedyne wyjście z impasu, podyktowane długiem, co najmniej wiekowem doświadczeniem praktycznem. A wszelkim słabeuszom polskim, niezdolnym wyciągać praktycznych wniosków z dziejowego doświadczenia, należy zamknąć usta. Szkodzą sprawie, poniżając w oczach przechytrych hajdamaków autorytet Polski.

A młodziutkim politykom polskim, którzy na łamach Biuletynu polsko-ukraińskiego doradzają mi rozczytywanie się w dziełach Lipińskiego i innych ewangeljach pseudo-historycznych, a w istocie sprytnie politycznych, oznajmiam, że ewangelje owe dawno już przeczytałem i że chodzili oni wszyscy jeszcze w dziecięcych spodeńkach, gdy byłem już dobrze dojrzałym i uświadomionym widzem proukraińskich wysiłków z polskiej strony w Galicji, a w czasie wojny z Rosją byłem jako starszy oficer na froncie i nie należałem do sfer, które wygodnie, przy ognisku domowem podpisywały w Galicji wiernopoddańczy adres do cara, piętnujący wskrzeszenie polskich sztndarów na polach wojny światowej.

Każdy zaś Rusin, kto przeczyta powyższe wywody — ale dokładnie, uważnie, nie z dziennikarską powierzchownością — niech spokojnie oceni, czy podstawy programu politycznego, w ogólnym zarysie tu rzucone, są przychylne, czy nieprzychylne dla sprawy odrodzenia jego narodu, a w przyszłości i państwa?

Jan Bobrzyński.

Lipiński a Sienkiewicz

Dobra jest nauka,
Ale kto jej szuka,
Nie z pychy, nie prawdaż mój panie?

Dla spokojnie, objektywnie myślących ludzi, niezależnych od żadnych doktryn lub narzuconych z góry programów działania, niezrozumiałym jest paradoksalny a modny dziś w pewnych sferach społeczeństwa polskiego kierunek odrzucania historyczno-literackiej działalności Sienkiewicza, jako „bajki", a nawet „szkodliwej bajki", zwłaszcza w zakresie dziejów polsko-ruskich, a stawianie natomiast pisarzy w rodzaju Lipińskiego na piedestale jakiejś ewangelji, obowiązującej dogmatycznie Polaków.

Kto tylko zabiera głos w sprawie „ukraińskiej", opierając się czy to na własnem doświadczeniu praktycznem, czy na jakich bądź źródłach, poczynając od najstarszych, tego gromią odrazu zapalczywi polscy ukrainiści, nazywając wszystko inne głupstwem i nieuctwem, a zalecając lekturę dzieł Lipińskiego. One to bowiem zawierają dopiero rzekomą kwintesencję mądrości i racji w zakresie polsko-ruskich dziejów, one tłumaczą wszystko w apostolskiem natchnieniu. One — oraz oczywiście wszelkie inne elukubracje naukowe i publicystyczne, wierne ewangelji Lipińskiego. Bo Lipiński, zwłaszcza w grubym tomie swego głównego dzieła, to w jednej osobie uczony i prorok. Ileż tam cytat i odnośników, radujących serce i umysły każdego kompilatora, który wartość dzieła mierzy nie jego treścią, sensem i historycznym prawdopodobieństwem, ale ilością cytat i odnośników! Ileż tam sensacyjnych rewelacji, wywracających do góry nogami wszelkie rozpowszechnione pojęcia o dziejach polsko-ruskich, a zwłaszcza kozackich!

Istotnie, przyznać należy, że działalność naukowo - historyczna Lipińskiego jest wielka i skuteczna, ale wielka i skuteczna niesłychanym sprytem. Nie dorośli do tak wysoce sprytnego

poziomu nasi polscy ukrainiści, którzy niemal wszyscy owładnięci są i skrępowani podwójną „psychosferą": poddaniem swej wiedzy i piór wymaganiom takiej czy innej bieżącej polityki oraz bezkrytyczną cytatomanją, posuniętą do jakiegoś osobliwszego kultu przed każdym starodawnym świstkiem papieru. Nic więc dziwnego, że w takiej atmosferze hodowana polska „krytyka historyczna" różnych naszych patentowanych, a tem bardziej niepatentowanych ukrainistów wpada na całego w sidła, nastawione na nią z odpowiedniem namaszczeniem i patosem.

Gdy więc spodoba się mistrzom à la Lipiński wybielić do roli bohatera jakiegoś zwykłego awanturnika — rebelizanta, lub morderczego watażkę, który oprócz sadystycznego, a bezmyślnego przelewu krwi i zniszczenia niczego więcej w życiu swem nie dokonał, to nastawia taki pisarz gęstą sieć uczonych cytat — odpowiednio, celowo zestawionych, a z pominięciem cytat i faktów niewygodnych — i łapie w tę sieć współczesne umysły, w arcysprytnem założeniu, że dzisiejsza mentalność nawet wykształconych ludzi lubi gotowe potrawy, podlane jakimkolwiek sosem, byle uniknąć niewygodnego wysiłku samodzielniejszego myślenia. A że w dodatku polscy ukrainiści — i współcześni Polacy wogóle — chorują na manję odbronzowiania ojczystych dziejów aż do grubej przesady i widocznego absurdu, więc sprytna robota gnębicieli polskości, a idealizowania hajdamaków siczowych ma tem łatwiejsze pole do tumanienia umysłów i żeru.

A cała ta akcja i sprawa zasługuje tem bardziej na stanowcze potępienie i pręgierz, że nie ogranicza się z polskiej strony tylko do jakiejś abstrakcyjnej dyskusji naukowej, ale wydaje i w praktycznej polityce kompromitującej nas wobec Ukraińców rezultat poniżania naszej Ojczyzny i donkiszockiego samobiczowania się przed sztucznie wyidealizowanemi watahami kozackich rabusiów, z podeptaniem nie tylko prawdy historycznej, ale i wszelkiej godności narodu, który skądinąd ma pretensje do mocarstwowości.

Drugiego podobnego przykładu nie znajdzie się w żadnym innym narodzie na świecie. Maluczko, a zaczną w nas wmawiać, że dzielny generał szkocki (a więc prawie angielski) Krzywonos słusznie rzezał polską ludność na Ukrainie, ziemię a wodę tylko zostawując, gdyż niegodziwi Polacy, ciemni i nieokrzesani w obliczu wysokiej siczowej kultury, nie byli warci innego losu. Dlatego to niektórzy „światlejsi" polscy wodzowie, np. później-

szy renegat Radziwiłł, nie tylko nie karali wziętych do niewoli rezunów w guście Krzeczowskiego, ale zapraszali ich na obiad!

Niestety nie przesadzam, bo takie „naukowe" dogmaty narzuca naiwnym Polakom, chorującym na nadmiar erudycji i cytatomanję, sprytna ukrainistyka. A Polacy — jak to głosi słynna instrukcja tajna Żydów frankistów z XVIII-go wieku — to naród poczciwy a głupi.

No, może nie wszyscy. Są wśród nas jeszcze tacy, którzy nie dają się brać na żadne kawały, nawet namaszczone oliwą uczoności i nie podzielają zapatrywania, że historja to chorągiewka na dachu, kręcąca się za każdym podmuchem oportunizmu lub spryciarstwa politycznego. Takim ludziom, może nielicznym jeszcze w naszym narodzie, żadne naukowo-polityczne ewangelje, ani żadne nazwiska „głośnych" autorów same przez się zupełnie nie imponują. Pozwalamy sobie wyrazić skromne, ale stanowcze zadanie, że do należytego wyświetlenia prawdy historycznej potrzebne są nie tylko erudycja i stosy pozbieranych zewsząd pergaminów, ale również zdrowy chłopski rozum, zmysł rzeczywistości i pewna zdolność do samodzielnej, krytycznej syntezy.

Te właśnie skromne, ale chyba niezbędne dla należytej oceny dawnych dziejów warunki każą nam stanowczo odrzucić np. różne argumenty i „dowody" naszych mniej krytycznych ukrainistów i odbronzawiaczy, pragnących za wszelką cenę zwalić winę buntów kozackich na Polskę i ówczesną polską kulturę w jak najgorszem świetle wobec rzekomo wysokiej cywilizacji kozackiej przedstawić. Tak naprzykład z faktu, że jakiś watażka, zapytany przez Polaka o porę dnia, wyciągnął złoty zegarek, o którego posiadaniu „ciemnemu" szlachcicowi polskiemu wówczas jeszcze nawet się nie śniło, wyciąga bezkrytycznie odbronzowiacz - ukrainista pośpieszny wniosek „naukowy" o niższości ówczesnej polskiej kultury. A tymczasem fakt ten można także całkiem poprostu tem wytłumaczyć, że w danym wypadku ów szlachcic nie miał przy sobie pod ręką zegarka — którego wówczas powszechnie wogóle nie noszono, co się zresztą i dzisiaj nieraz zdarza — a zaporożec nosił go przy sobie przypadkowo jako łup, zdobyty gdzieś na Turkach czy Polakach. Tak więc uczony argument „zegarkowy" dał pole do wyciągnięcia całkiem błędnego wniosku: rzekoma wyższość kulturalna Kozaka okazuje się w świetle trzeźwego sądu właśnie tylko jako dowód prostego rozbójnictwa.

Ostrożnie więc, panowie erudyci, z naciąganiem za włosy różnych starych dokumentów lub faktów dla celów doktrynerskiej polityki, którą chcecie bezkrytycznie wzmocnić argumentami pseudo-naukowymi! Że gdzieś tam rycerz polski prezentuje się w podartym pancerzu i w poszarpanej odzieży po bitwach Kozakowi, przybranemu w zrabowane złotogłowie, brylanty i zegarki, to nie jest chyba jeszcze „naukowym“ dowodem wyższości siczowej kultury nad polską!

Niestety, żyjemy w czasach i stosunkach, w których nawet teorja naukowa poniżyła się oportunistycznie do roli służebnicy polityki. I podobnie jak np. megalomanja czeska usiłuje obecnie przypisać sobie zwycięstwa pod Grunwaldem i Wiedniem, tak i zacietrzewieni nasi ukrainiści, padając na twarz przed zbójecką tradycją Siczy, aby za wszelką cenę pozyskać sobie łaskę współczesnego ukrainizmu, nałamują do tego celu prawdę i zdrowy sens historji, poniżając — ku uciesze chytrych ukrainizatorów narodu ruskiego — własną Ojczyznę, jej misję i dzieje. Dalej, panowie, nie żenujcie się, — bo jak już, to już gruntownie! Pokryjcie Kresy Wschodnie siecią permanentnych herbatek ugodowych, zapraszajcie na nie, kłaniając się w pas, współczesnych mołojców z pod znaków Unda, czy Łuchów, czy nawet Selrobów i klarujcie im, że napoleoński genjusz Chmielnickiego lub szkocki generał Krzywonos (liczący godziny na złotym zegarku), szli gromić dzikie hordy ciemnej szlachty polskiej, która ratunek swój zawdzięcza jedynie tylko niemieckim regimentom najemnym!!!

Lubię czasem krotochwile, ale niechże już będą integralne i śmiałe! A dzieła Lipińskiego i podobne proponujemy wystawić na ołtarzach, jako księgi dogmatycznej, bezapelacyjnej ewangelji dla wyznawców dziecinnie naiwnego obrządku „rozwiązywania“ problemu polsko-ukraińskiego za pomocą uginania karku przed hajdamakami i wykręcania kości prawdzie historycznej! Rozumiem jeszcze, po ludzku biorąc, taką rację — fizykę ze strony wiecznie głodnych kandydatów na stanowisko wojewody lwowskegio czy tarnopolskiego, ale zgoła jej nie rozumiem u innych, którzy takim ambicjom nie hołdują, a chcą udawać naukowy objektywizm.....

Ale zostawmy na boku jednych i drugich — erudytów, odbronzawiaczy, stertowiczów i wojewódzkich kandydatów — a przeczytajmy sobie pewien krótki ustęp z „Ogniem i mieczem“ w rozdziale VI, który w kilku zdaniach charakteryzuje dosadnie

różnicę między Kozakiem a Rusinem w pierwszej połowie XVII-go w. Jak to — zakrzykną erudyci — Ogniem i mieczem mamy cytować? Wszak to fantastyczna elukubracja literacka, bez żadnej wartości naukowej, siejąca nienawiść polsko-ukraińską, szkodliwa w najwyższym stopniu dla „naszej“ polityki. Precz z tem do lamusa!

Za pozwoleniem! Tak nie jest, panowie oportuniści i herbatkowi ugodowcy. Ten pogardzony przez was Sienkiewicz jednak bardzo dużo studjował zanim wziął się do pisania swej nieśmiertelnej powieści. Tu i ówdzie mógł dołożyć fantazji literackiej, co mu wolno. Tu i ówdzie — dla wymogów budowy historycznego romansu — mógł coś przejaskrawić lub pominąć. To mu wolno. Ale ogólny obraz Ukrainy dał taki, jakiego — mimo wszelkich późniejszych odkryć archiwalnych — nikt nie był dać w stanie, obraz, przemawiający nie tylko do poetyckiej, ale i do historycznej wyobraźni wykształconego i krytycznie myślącego czytelnika.

Otóż, wyzywamy niniejszem w szranki wszystkich współczesnych ukrainistów — erudytów, znających na pamięć każdy papierek, odkryty nie tylko w naszych archiwach, ale i w legendarnych zbiorach wiedeńskiej akademji umiejętności — do których odsyłają nas zwykle współcześni fabrykanci historji ukrainizmu w razie chwilowego kłopotu — aby zechcieli skorygować zamaszystemi pociągnięciami czerwonym atramentem to, co jest ich zdaniem nieprawdziwego w następującym ustępie:

„Sicz, w zbyt szczupłych granicach objęta, nie mogła wszystkich swych ludzi wyżywić, wyprawy nie zawsze się zdarzały, przeto stepy nie dawały chleba Kozakom, mnóstwo więc niżowców rozpraszało się rokrocznie w spokojnych czasach po okolicach zamieszkanych. Pełno ich było na Ukrainie, ba nawet na całej Rusi. Jedni zaciągali się do pocztów starościńskich, inni szynkowali wódkę po drogach, inni trudnili się po wsiach i po miastach handlem i rzemiosłami. W każdej prawie wsi stała o p o d a l o d i n n y c h chata, w której mieszkał zaporożec. Niektórzy mieli w takich chatach, żony i gospodarstwo. A zaporożec taki, jako człek zwykle kuty i bity, był poniekąd dobrodziejstwem wsi, w której mieszkał. Nie było nad nich lepszych kowali, kołodziejów, garbarzy, woskobojów, rybitwów i myśliwych. Kozak wszystko umiał, wszystko zrobił, dom postawił i siodło uszył. Powszechnie jednak nie byli to osadnicy spokojni, bo żyli życiem tymczasowem. Kto chciał

wyrok zbrojno egzekwować, na siąsiada najazd zrobić lub się od spodziewanego obronić, potrzebował tylko krzyknąć, a wnet mołojcy zlatywali się, jak krucy na żer gotowi. Używała ich też szlachta, używali panowie, wiecznie spory z sobą wiodący, gdy jednak i takich wypraw brakło, to siedzieli cicho po wsiach, pracując do upadłego i w pocie czoła zdobywając chleb powszedni. I trwało tak czasem rok, dwa, aż nagle przychodziła wieść o jakowejś walnej wyprawie, czy to jakiego atamana na Tatarów, czy „Lachów", czy wreszcie paniąt polskich na Wołoszczyznę; i wnet ci kołodzieje, kowale, garbarze, woskoboje, porzucali spokojne zajęcie i przedewszystkiem poczynali pić na śmierć we wszystkich szynkach ukraińskich. Przepiwszy wszystko, pili dalej na borg, „ne na to, szczo je, ale na to, szczo bude". Przyszłe łupy miały zapłacić hulatykę".

Czyż ten obraz Kozactwa wśród ludności ruskiej na ziemi ukrainnej jest zupełnie zmyślony, nieprawdziwy? Nie wydaje nam się. Historyczne dzieła Sienkiewicza są oparte, jak dobrze wiadomo, na głębokich, bardzo poważnych studjach. Sienkiewicz, to nie nowoczesny polityk-oportunista, ani blagier, motylkujący po tematach dla celów polityki partyjnej lub karjery. Mógł i wolno mu było w powieściowej fabule różne, dla historji mniej istotne lub nawet wcale nieistotne rzeczy po literacku przeinaczyć, do ram i celów dydaktycznych romansu takie nieistotne sprawy dostroić, mógł nawet tu i ówdzie jakiś błąd popełnić, który nowoczesne korygują badania, ale wtrącane w jego powieści w odpowiednich miejscach charakterystyki stosunków dziejowych, jak wyżej przytoczony ustęp, nie są z powietrza wzięte, lecz na pewnych realnych, naukowych dowodach oparte. Wie o tem i odczuwa to aż nadto wyraźnie każdy czytelnik, o ile nie jest zgóry zahipnotyzowany nowinkarstwem za wszelką cenę lub spryciarskim publicystą, naginającym prawdę bez skrupułu na rzecz swych osobistych ambicyj politycznych lub publicystycznych.

Stanowczo wolimy wierzyć powyższemu obrazowi Kozactwa na Ukrainie, niż mniej krytycznym kompilatorom różnych zakłamanych listów i świstków po archiwach, które w najlepszym razie, o ile wprost nie były sfabrykowane ad usum Delphini, przynoszą tylko jakieś fragmenty, z których całość i prawda historyczna trudno da się powiązać. Czego więc uczy nas przedewszystkiem powyższy obraz, krótki a jędrny, jak gdyby wyjęty z Tacyta?

Uczy nas, że Kozactwo było oczywiście tylko elementem napływowym, niestałym na Rusi. Tu i ówdzie zapuściło w czasach spokojnych chwilowo korzenie, budując chaty — jak gdyby cyganie! — o p o d a l od wsi, ale gotowe w każdej chwili służyć za płatnych najemników komu bądź lub za łupieżców. I w tem leżą właśnie zasadniczy, psychiczny i faktyczny bezproduktywizm i negatywizm Siczy i Kozactwa wobec całego świata, mimo różnych osobistych zdolności gospodarczych, wykazywanych w razie potrzeby przez poszczególnych Kozaków. Wszak i dziś epigoni idei siczowej, a więc protogoniści ukrainizmu wśród Rusinów, wykazują również gospodarcze uzdolnienia, np.: w dziedzinie organizacji kooperatyw i t. p. Ale podobnie, jak ongiś Kozactwo na Rusi, są nowocześni adepci ukrainizmu także czemś odrębnem od ogółu ruskiej ludności, w którą wznawiają sztuczną nazwę „Ukrainiec" i szerzą wśród niej wyidealizowane legendy i tradycje kozackie. A tradycje te — to w czasie pokoju masłojuze, a pozatem brak produktywnej myśli państwowej i atawistyczna gotowość do wypraw na Lachów (skoro nie można już łupić Turcji i Krymu) na służbie obcych mocy i nieraz obcego kapitału. Na każdy zew Niemca, Czecha lub nawet kowieńskiego Litwina, gotów jest współczesny mołojec ruszać na Lachów.

Nic się więc zasadniczo nie zmieniło. Ukrainizm, czyli idea siczowa żeruje dalej na narodach ruskim i polskim, korzystając z przysłowiowej inercji i wygody Polaków, którzy dla świętego spokoju za wszelką cenę gotowi są i dzisiaj wciąż w nagrodę za nienawiść ze strony Ukraińców, za podpalane przez nich sterty, knute spiski, za ich strzały rewolwerowe, bomby i napady ofiarowywać im w naiwnych nadziejach buławy i sztandary hetmańskie. Ciekawe widowisko, bodaj jedyne w swym rodzaju na świecie. Ile razy Polak w pysk dostanie od ukraińskiego hajdamaki, tyle razy śpieszy do niego zaraz z ugodowym pokłonem, ofiarując mu wszystko możliwe i nawet niemożliwe. A proszę zważyć, że ta tragikomedja odgrywa się nie od wczoraj dopiero, ale od lat prawie trzystu!

Co więcej, ten śpieszący z perejasławskim pokłonem Polak, pod wodzą różnych współczesnych, przemądrze-naiwnych Ossolińskich i Kisielów, gromi swych rodaków inaczej myślących, którzy nie chcą poddać się pod jarzmo legendy hajdamackiej i życząc dobrze obu narodom, chcieliby je z pod niego wyzwolić i przysposobić Rusina na współtwórcę wielkiego, mo-

carstwowego zespołu oraz odnowiciela jego własnego narodu. Co więcej jeszcze, ci Kisielowcy wśród Polaków lżą swój naród i swą historję wobec rozpasanego, chytrego hajdamactwa, twierdzą z pseudo-naukowym patosem, że cywilizacja siczowych banitów i rabusiów była wyższą od polskiej i wyrzucają jedno z najwspanialszych dzieł polskiej literatury ze szkół polskich „aby nie obrażać" pp. hajdamaków. Wyobraźmy sobie, że Anglicy wyrzucają ze szkół Szekspira, za niepochlebne przedstawienie Dziewicy Orleańskiej w jednym z jego dramatów, aby przypodobać się Francji! A przecież Francja jest daleko więcej z Anglją sprzymierzona, niż Ukraińcy z Polską, no i przedewszystkiem przedstawia dla Anglji nieskończenie większe walory realne, niż skozaczeni, wiecznie wrodzy i buntujący się przeciw Polsce „Ukraińcy".

Czas więc już ostatni skończyć z tą niefortunną i niesłychanie szkodliwą donkiszoterją, która ze względu na genezę i charakter koncepcji ukrainizmu żadnych korzystnych rezultatów nie przyniesie i przynieść nie może, a osłabia tylko w niesłychany sposób autorytet już nie tylko polityki, ale wprost inteligencji narodu polskiego.

Zresztą, skoro już mowa o sprawie kozackiej na tle „Ogniem i mieczem", to stwierdzić należy, że Kozacy w tej epopei wcale źle nie wychodzą. Wszak postacie dowódzców kozackich i męstwo wojsk zaporoskich kreślone jest na wzór niemal bohaterów Homera. A takiej postaci rycerza — Kozaka, jaką stworzył Sienkiewicz w Bohunie, nie była w stanie odtworzyć cała literatura ukraińska. A że pozatem błędy i zbrodnie kozackie i polskie traktowane są w całej Trylogji, ogółem biorąc, z aż nadto bezwzględnym objektywizmem i autor chłoszcze dostatecznie rozpoczynającą się w tym okresie anarchję możnowładctwa i szlachty, więc o cóż chodzi przewrażliwionym polskim ukrainofilom?

Może i Wawel w końcu zapragną zniszczyć, bo razi on niezawodnie zaborczych Ukraińców, sięgających agitacją swą poprzez Łemkowszczyznę, aż niemal pod mury Krakowa. Warto by im zasugerować myśl postawienia na środku Wawelskiego dziedzińca cerkwi na pamiątkę księżny Dobrogniewy, która tu przecież naprawdę rezydowała! Ale, że to była księżna r u s k a, więc należałoby ją najpierw w jakiś sposób powiązać z legendą siczową i zrobić z niej koniecznie „Ukrainkę". Nieco trudniej przyjdzie to pp. ukrainistom-erudytom, niż ukrainizacja

Chmielnickiego, który wprawdzie zatytułował się w końcu dux totius Ucrainae, ale najoczywiściej w znaczeniu geograficznego obszaru swego władztwa, gdyż sam, osobiście, był i nazywał się Rusinem. A za czasów Dobrogniewy nie było ponoć ani Siczy, ani nazwy Ukraina, ani złotych zegarków. Ale od czegóż akta wiedeńskiej akademji umiejętności? Tam wszystko się znajdzie, czego potrzeba, a szkoła adoratorów Lipińskiego wszystko potrafi, choćby w czasie jazdy pociągiem pośpiesznym z Wiednia do Warszawy!

* * *

Czwarty rozbiór Polski?

Pomijając efemeryczne aktualia, frazesy i szczegóły, pomijając zwłaszcza przechytrzoną, judaszowsko-dyplomatyzującą taktykę naszych wszelakich partji politycznych i odłamów klasowych, wraz z całą służącą im niewolniczo obłudą prasową, uderzamy — jak z reguły — „toporem" w samo sedno sprawy. Wiemy doskonale, że to „nie wypada" w obłudnych kołach partyjno-politycznych lub w odłamach społeczno-klasowych, że zrutynizowana i zakostniała w swej utartej „frazeologji" prasa partyjna nazwie to „prostactwem", a już co najmniej „grubym nietaktem", ale cóż na to możemy poradzić, jeżeli chcemy być uczciwi i szczerzy, jeżeli mamy społeczeństwu, zamiast odurzających frazesów, rąbnąć prawdziwą prawdę?

Polska wcale jeszcze nie jest państwem niepodległem i suwerennem. Znikła wprawdzie z ulic naszych miast rosyjska czapka talerzowa, pruska pikielhauba i austrjacka czapka „z bączkiem", zapadły się trony trzech monarchów — okupantów, ale mimo to wszystko nikt wtajemniczony w głębokie arkania naszej polityki i administracji państwowej, nikt należycie poiformowany o naszej rzeczywistej rzeczywistości nie może zaprzeczyć, że wyzwoliwszy się z pod władzy „trzech sępów w koronach" i zaprowadziwszy tylko polski język w sądach i urzędach (i w podatkowych nakazach płatniczych), dostaliśmy się pod okupację i faktyczne rządy różnych obcych agentur, różnych wrogich Polsce mocy, w najgłębszej swej istocie i w ostatecznym rezultacie ich działania daleko gorszych od fizycznej tylko przemocy bagnetów i żandarmów rosyjskich, pruskich i austrjackich.

Daleko gorszych — bo fizyczny ucisk wyczarowywał prostem prawem reakcji odpowiedni odpór i tężyznę polskiego narodu: wspaniała literatura, oryginalna sztuka i głęboka, pancerna myśl polityczna rodziła się w naszym społeczeństwie, hartując je w zaciętej walce z obcą fizyczną przemocą i wskazując mu ja-

sne i wyraźne drogi postępowania i wysiłku. Fizyczne zabory wzmagały tężyznę Polaka, chociaż tu i tam ciężkie zadawały mu ciosy. Ale zrzucenie zaborczego jarzma, wzmocnienie polskości i polskiego stanu posiadania na ojczystej ziemi bez względu na kordony zaborcze łączyło jednak wszystkich Polaków ponad różnice przekonań politycznych i klasowych. Pod tym względem nie było różnic na polskiej prawicy i lewicy — nawet między polskim konserwatystą a socjalistą.

I właśnie dlatego możliwem było wskrzeszenie Polski niepodległej w odpowiednim momencie dziejowym. Wprawdzie w momencie tym dzieliły nas pewne różnice zapatrywań co do ustroju tej powstającej Polski, niemniej jednak wszyscy zgodnie pragnęli politycznego odrodzenia i niepodległości Ojczyzny.

Ale gdy pragnienie stało się faktem — przewyższającym stanowczo w integraliźmie swym najśmielsze nawet zamierzenia — wówczas sytuacja nagle się zmieniła. I jest dziś naprawdę inaczej, inaczej, inaczej — mówiąc słowami poety — niż marzyli nasi ojcowie i dziadowie. Formalnie zmartwychwstała Ojczyzna dostała się znowu pod władzę obcych mocy, innego coprawda autoramentu, które wprawdzie nie grożą na razie, bezpośrednio, jutro, politycznym podbojem naszgo państwa, odkładając go na nieco dalszą metę, ale zato zatruwają planowo, systematycznie, z niesłychaną perfidią ducha i tężyznę spoczywającego wygodnie na laurach niepodległości narodu, wikłając go zewsząd w złowrogą sieć pajęczą i dążąc z nieubłaganą konsekwencją do takiego osłabienia i wewnętrznego rozprzężenia Polski, aby stopniowo, bez jaskrawych pociągnięć, stała się wreszcie ich łatwym i tanim łupem — tym razem już na zawsze.

Nazawsze przez to, że Polska, społecznie i psychicznie spróchniała, nie będzie już w stanie zdobyć się na większy wysiłek, wyczarować z siebie powtórnie rozmachów defenzywy i ofenzywy, ale rozsadzona w swych najgłębszych komórkach trucizną wrogich doktryn, popadnie w ręce nieprzyjaciela, sama nie wiedząc kiedy.

Dlatego to Wielki Marszałek wskazał na „obce agentury“ jako na największego, najistotniejszego obecnie naszego wroga. Armji sowieckiej nie boimy się (za wyjątkiem nielicznych wśród nas, zniewieściałych strachopuchów — geszefciarzy), inwazji niemieckiej również na serjo się nie boimy, gdyż przedewszystkiem Niemcy, choć buńczucznie się nieraz zachowują i różnych lokalnych, dotkliwych przykrości hakaty-

stycznym zwyczajem Polsce i polskości nie szczędzą, to jednak wojna z Polską — jak wie o tem dobrze każdy w polityczne arkana na serjo wtajemniczony — przedstawia dla nich zbyt wielkie ryzyko — a zwłaszcza dla rządów hitllerowskich — ażeby mieli się puszczać lekkomyślnie na taką imprezę. Z czerwoną armją damy sobie sami radę, a hitlerowcy, rozpalając płomień wojny, wskrzesiliby z martwych „wszechświatową demokrację", któraby w ostatecznym rezultacie spowodowała powtórny pogrom „podpalacza wojny" i wówczas skończyłoby się nie tylko z hitleryzmem, ale wogóle z Niemcami.

A przy tej okazji z całą satysfakcją załatwilibyśmy nasze porachunki z dwoma kąśliwymi kundlami: Kowieńszczyzną i Czechami.

Nie, wojny nie boimy się wcale. Stan rzeczy w Europie i poza Europą jest taki, że możemy spokojnie uprawiać neutralność, no i oczywiście zbroić się i motoryzować od stóp do głów.

Inaczej ma się rzecz z perfidnym, pajęczym naporem wszelakich obcych agentur, zewnętrznych i wewnętrznych. Bo czysto zewnętrzne w początkach naszej niepodległości rozkładowe agentury zdołały — dzięki nieopatrzności i karygodnej inercji Polaków — doprowadzić już do tego, że niemal nie potrzeba już zewnętrznych podniet, gdyż Polacy wykonywują posłusznie ich cele i rozkładają własną Ojczyznę własnemi rękami i rodzimą, staroszlachecką, iście targowicką głupotą.

Tak jest! Nie wolno tego dłużej ukrywać. Jak ongiś Katarzyna narzuciła się Polsce jako gwarantka złotej wolności, a częściowo i chwilowo pełnił tę rolę nawet król pruski, tak obecnie rolę obrony „demokracji" uchwycił w rękę światowy judaizm, masonerja i moskiewski Komitern, a niechlubne zadanie ich płatnych siepaczy — na słowiańskim koniku — pełnią w Polsce Czesi, tumaniąc w pierwszym rzędzie najnaiwniejszych, nieświadomych właściwego celu „słowiańskiej doktryny" Polaków.

Pomagają w tem wszystkiem — jedni nieświadomie, drudzy świadomie — szerzyciele ukrainizmu i ich polscy protektorzy oraz szowiniści kowieńscy, którzy robią wszystko, aby sztuczna ich ojczyzna została prędzej czy później — o ile to się w razie pożądanego przez nich osłabienia Polski powiedzie — wcielona do Rosji lub Niemiec lub, jak tego pragną inni, zamieniona na angielską kolonję mandatową.

Jakiż tedy jest faktyczny stan rzeczy w Polsce? Jakiż jest, realnie biorąc, teren ojczysty, na którym się poruszamy i na którym uprawiamy beztrosko, z typowo polskiem dojutrkowaniem, naszą politykę i gospodarkę?

Chcąc na to pytanie szczerze, integralnie odpowiedzieć, należy przedewszystkiem usunąć na bok wszystko to, co się na powierzchni naszej polityki i gospodarki dzieje. A więc wszelką blagę, wszelkie sztuczne podniety i narkotyzujące eksperymenty i huczne defilady i śpiewki i chorągiewki. Zdjąć trzeba cały ten kożuch z mleka i spojrzeć trzeźwem, odważnem okiem na to, co się pod nim kryje.

Proszę wyobrazić sobie na chwilę, że pełni się funkcję żołnierza, stojącego na posterunku pogranicznym naprzeciw zbliżającego się z tamtej strony bolszewika, czy jakiegokolwiek innego siepacza na służbie obcych agentur. I w tej sytuacji ma się za zadanie i obowiązek strzelić do zbliżającego się wroga. Zna się go doskonale, posiada się dokładne instrukcje gdzie do niego celować, zna się dobrze swój karabin i ma się nawet celne oko. Zdawałoby się, że wystarczy zmierzyć się i sprawa skończona.

Niestety zamiar okazuje się niewykonalny, gdyż nie podobna wziąć na cel zbliżającego się nieprzyjaciela. Teraz bowiem dopiero spostrzega polski strażnik, że znajduje się w gęstym krzaku, najeżonym kolcami, którego gałęzie każdy ruch karabinem hamują. Napróżno szarpie się Polak w tym gąszczu, raniąc się o twarde kolce, napróżno usiłuje skierować lufę karabinu wśród gałęzi w serce wroga. Gęste sploty tamują każdy ruch, aż wreszcie cyngiel karabinu zaczepia wśród tego szamotania o jakąś gałązkę i pada strzał na ślepo w całkiem innym kierunku. A tymczasem bolszewik czy mason obchodzi wygodnie polskiego strażnika i zadaje mu cios w plecy sztyletem.

Oto mniej więcej sytuacja każdego z nas, który w gąszczu obcych agentur na terenie ojczystym chce z nimi walczyć. Mógłby je bardzo łatwo pokonać, bo zarówno Komintern jak i inne obce złe moce żyją i tuczą się w Polsce jedynie tylko inercją, naiwnością i bezczynnością Polaków. Jedno zdecydowane, męskie, planowe, odpowiednimi środkami poparte uderzenie naodlew rozbije w puch działalność obcych agentur, które przecież głębszych podstaw w naszym kraju na serjo nie posiadają.

Niestety, gęsty splot elastycznych gałęzi owego symbolicznego — a jakżeż przytem realnego! — krzaka, w którym tkwi-

my, utrudnia, jeżeli wogóle nie uniemożliwia walkę z wrogiem. Tyle zewsząd słyszy się apelów do walki z obcemi agenturami, ale — wybaczcie rodacy — apele te grzeszą stanowczo nieszczerością. Zapewne, administracja i policja państwowa robią swoje, ścigając, aresztując, a czasem nawet rozstrzeliwując wrogów, którzy prowadzą z Polską „wojnę w czasie pokoju". Ale to wszystko za mało, stanowczo za mało, gdyż wróg, omijając sprytnie nasze policyjne i wojskowe bagnety, nasze paragrafy kodeksu karnego, penetruje do Polski olbrzymim rojem szarańczy, osiadając wszędzie — poprostu wszędzie, bez wyjątku.

Co prawda, penetracja ta nie występuje powszechnie w sposób jawny, z rozwiniętym sztandarem sierpa i młota lub z widomą kielnią masońską. Przeciwnie, w myśl nowszych instrukcji swych z zagranicy kierujących ośrodków, podnosi ona krzykliwie biało-amarantowe flagi, ba, chwyta nawet w rękę krzyż apostolski, a niekiedy nawet przyodziewa się w duchowne sutanny lub w otoczony powszechnym szacunkiem mundur polskiego żołnierza. Wyrywa też z rąk naiwnych patrjotów i przyswaja sobie z szatańską zręcznością wszystkie hasła i cechy zewnętrzne idei demokratycznej, która — sama przez się już wypłowiała i zestarzała — nabiera nowego blasku w ręku sprytnych bolszewików, masonów i agentów judaizmu światowego. Ta sama moc, sprytnie zamaskowana, zdołała już chwycić w rękę także wszelkie hasła postępu, na które przeciętny Polak zawsze bardzo jest czuły i któremi migoce mu ona przed oczyma, strasząc go równocześnie fantomem totalizmu i faszyzmu.

Bo faktem jest bezspornym, pozadyskusyjnym, że wszystko, absolutnie wszystko, co obecnie występuje do walki z tzw. faszyzmem i nadużywa tej nazwy jako straszaka nawet tam, gdzie o żadnym faszyźmie nikomu się nie śni, jest świadomie lub podświadomie na usługach jakiegoś internacjonału, Polsce wrogiego, żydo-komuny, kominternu lub masonerji, grającej rolę jak gdyby przedszkola bolszewizmu. Można śmiało twierdzić, że — poza sferami robotniczymi, gdzie rolę „przysposobienia bolszewickiego" odgrywa niechlubnie socjalizm, jako łagodniejsza forma doktryny Marksa — niemal każdy inteligent polski, który popadł w obłęd bolszewizmu, przeszedł najpierw przez szkołę masońską.

Atmosfera zaś, wytworzona w Polsce przez różne te obce agentury — które gdzieindziej prowadzą z sobą bój, ale u nas zgodne są w planowem niszczeniu katolickiego państwa — zagę-

ściła się i osiadła wszędzie tak dalece, że na razie nie podobna wydać — rebus sic stantibus — na serjo walki obcym agenturom. A niejeden zew w tym kierunku wygląda na drwiny i okazuje się przy bliższem zbadaniu ordynarną prowokacją, mającą na celu zbadanie, ile ten i ów polski patrjota, lub związek patrjotów wie o machinacjach agenturowych. Tylko że „Nasza Przyszłość", wraz z otaczającym ją Związkiem Polskiej Myśli Państwowej, znają się wyśmienicie na farbowanych lisach — zwłaszcza na domorosłych lisach farbowanych — i robią celowo niekiedy minę z „głupia frant", biorąc niby za dobrą monetę „szlachetny" zapał anty - agenturowy różnych komiwojażerów lub niewolników obcych agentur.

To też w dzisiejszych, wogóle smutnych czasach, śmiejemy się nieraz do rozpuku, gdy np. jakiś głupi a zarozumiały mason wzywa nas prowokacyjnie do walki z masonerją!!

Niemniej jednak zdajemy sobie sprawę — lepiej od wielu innych — jak niebezpiecznem jest położenie Polski w gęstej sieci obcych agentur, które nasz kraj jak wszy obsiadły (przepraszam za wyrażenie o niskim poziomie) i gdzie wprost ruszyć się nie można, jak w owym, wyżej wspomnianym krzaku nadgranicznym, aby nie uderzyć nosem w jakiegoś masona, półbolszewika lub ich posłusznego lokaja. Bo faktem jest — i napróżno usiłowałby ktoś przeczyć -- że karjerę w Polsce — oprócz wyjątkowych wyjątków — może robić tylko członek lub sługus obcych agentur. I w ten sposób powstał dziw nad dziwy: państwo jest niby wolne, niby suwerenne, niby ma własny rząd, armję i policję w pięknych hełmach galowych, ba, nawet aspiracje mocarstwowe „od morza do morza", ale faktyczne rządy sprawują w niem obce agentury oraz sterroryzowani przez nie „agenci mimowolni", którzy radziby zrobić porządek w kraju, ale ze względu na t. zw. czarny kawałek codziennego chleba — t. j. pensję i emeryturę — nie mają dość odwagi cywilnej i zbiorowej energji, aby słomianego chochoła obcych agentur pięścią na odlew trzasnąć i oczyścić z niego administrację państwową, prasę, bankowość, przemysł, handel, naukę i całą wogóle w kraju atmosferę. Piekielny strach przed legendarną potęgą Kominternu i jeszcze bardziej legendarną potęgą masonerji załamał wolę i tężyznę polskiego narodu. I dlatego słusznie stwierdził ś. p. Wielki Marszałek, że rządzą nami „obce agentury".

A od czasu, gdy te słowa wypowiedział, a zwłaszcza od Jego zgonu sytuacja jeszcze się pogorszyła. Teraz już nie tylko rzą-

dzą nami bolszewicy, masoni, judaiści, Czesi, zukrainizowani Rusini i t.d., ale nawet ilekroć świadomy tej sytuacji polski patrjota — wyjątkowo niezależny od ich wpływów — chce na serjo zrobić wyłom w tym gąszczu i rozpocząć wyzwolenie Ojczyzny z pod władzy obcych mocy, tylekroć nie tylko dzieje się coś takiego, co mu tę pracę z miejsca paraliżuje, ale — co gorsza — staje przed nim mur własnych rodaków, skądinąd porządnych ludzi, który z tępym, iście baranim uporem przeciwstawia się wszelkim anty-agenturowym zamierzeniom.

Otóż sedno sprawy w tem, że chcąc dobrać się na serjo do buszujących po kraju obcych, zagranicznych agentur z realnym skutkiem, trzeba najpierw rozbić ten mur wewnętrzny patrjotycznych baranów, służących podświadomie za awangardę bolszewizmu, masonerji i niesłychanie sprytnego judaizmu. Trzeba walić taranem najpierw w polskich „patrjotów" różnych sfer i przekonań, aby móc potem wycelować swobodnie karabin na obcych wrogów. W tem leży istota problemu i start właściwy.

Bo zaiste, cóż pomoże zdemaskowanie i likwidacja jakiejś bolszewickiej jaczejki, złożonej z kilku lub kilkunastu obcych najemników, jeżeli tysiąc dobrych patrjotów, cieszących się poważaniem, hamuje wszelką głębszą akcję i spełnia właśnie przez to najgorętsze życzenia komiternu czy innej jakiej zagranicznej agentury?

I tu jedno przedewszystkiem zjawisko — wśród wielu innych — stwierdzić i napiętnować musimy. Oto faktem jest, że, jak dotąd, niepodobna zszeregować w jednolity front nawet tych Polaków, którzy oddają się specjalnie walce z komiternem, judaizmem, masonerją i są dobrze świadomi penetracyjnej akcji czesko-bolszewickiej, przybranej w szatę wszechsłowiańską. Wszelkie wysiłki zorganizowania jakiegoś porozumienia między nawet tymi ludźmi, indywidualnie wyszkolonymi w anty-agenturowej robocie, okazały się dotąd daremne. Bo to jeden jest sanatorem, drugi endekoidem, trzeci motylkującym w aktualjach konserwatystą, czwarty jakimś „postępowcem", czy „narodowym" radykałem, a inny znów — i tych jest najwięcej — po prostu anarchicznym snobem, głupawo-dumnym na swoje stanowisko i osobiste „zasługi" na polu „walki ze Stalinem" lub wreszcie po prostu posadkowym tchórzem, który swych szefów w danym zawodzie podejrzewa o masonerję i dlatego w pokorze ducha nie chce psuć sobie karjery i emerytury.

„Dureńki"! — powiedziałby Wielki Marszałek, bo ze stra-

chu czy snobizmu nie rozumieją, że obce agentury, nadchnione przez światowy judaizm duchem i taktyką roju, mogą być skutecznie odparte jedynie tylko rojnym, zbiorowym frontem. Nie rozumieją też, że każdy, nawet potężny szef-mason, zdemaskowany jako czynnik obcej agentury i oskarżony przez to samo o działalność anty-państwową, staje się odrazu bezsilnym łachem, który nie tylko traci swą wszechpotężną posadę, ale wyrzucony zostaje poza nawias przez tę samą obcą agenturę, której był eksponentem. Bo obce agentury wypierają się niezwłocznie swych adeptów zdemaskowanych, bezsilnych, którzy wykazali niezdarność konspiracyjną.

I właśnie dlatego bardzo łatwo możemy pokrzyżować wszelakie perfidne zamiary czwartego rozbioru Polski, tym razem zakonspirowanego przez bandy sprytnych Żydków, moskiewskich bolszewików, kapitalistów i dziennikarzy masońskich oraz ich szczekliwych — a jakże w istocie słabych! — czeskich komparsów. Ale w tym celu, zamiast tracić czas na pompatyczne zabawy w Sherlocków antykominternowskich lub nabawiać się wady serca ze strachu przed „wszechpotężną“ masonerją, trzeba przedewszystkiem zrobić jedno: chwycić za łeb patrjotów polskich i nagiąć ich dumne, z atawizmu anarchiczne karki do zbiorowej, zdecydowanej akcji anty-agenturowej. A kto pod jakim bądź pozorem od takiej „rojnej“ roboty będzie chciał stronić, tego publicznie napiętnować należy jako „pośredniego agenta“ wywrotowych mocy. I słusznie — taki patrjota bowiem jest faktycznie daleko szkodliwszym od pierwszego lepszego bolszewika czy masona, gdyż kładzie belki pod nogi prawdziwej walce z obcemi agenturami.

W konkluzji więc dwa kardynalne warunki wysunąć i zrealizować trzeba, jeżeli ma być na serjo mowa o *skutecznej* walce z wrogiemi agenturami: po pierwsze, rozpoczęcie wszelkiej akcji anty-agenturowej od wewnątrz, t. j. od oczyszczenia zbolszewizowanej, zatrutej duchem judaistyczno-masońskim atmosfery, obalając bezwzględnie „mur wewnętrzny“, który pod różnym pretekstem dyplomatyczno - patrjotycznym przeciwstawia się zdecydowanemu sięgnięciu w głąb sprawy, a powtóre, zmuszenie poszczególnych Polaków i polskich placówek, walczących dotąd w niepraktycznej izolacji z obcemi agenturami, w pewien wspólny front anty - agenturowego porozumienia. Bo jeżeli z tamtej strony toczą się na nas żelazne walce zniszczenia, to skuteczny hamulec z polskiej strony można im nałożyć tylko mo-

carnym frontem zbiorowym. Gerylasówka w pojedynkę nie wyda żadnego rezultatu i wrogie agentury zmiażdżą bez trudu izolujące się i skłócone między sobą polskie placówki.

Dobre, zdyscyplinowane porozumienie antykomunistyczne, antymasońskie, antyczeskie i t. d. jest najważniejszym postulatem obrony prawdziwej niepodległości państwa.

A dlaczego mówimy o groźbie „czwartego rozbioru" Polski? Dlatego, że wrogie agentury nie tylko dążą — z nieubłaganą konsekwencją i długofalową cierpliwością — do zniszczenia rycerskiej, katolickiej Polski, ale że ostatecznym rezultatem politycznym zwycięstwa obcych agentur w Polsce byłby bez żadnej wątpliwości podział łupu między Sowietami a Niemcami, przyczem niektórym innym, ubocznym, a przejściowo w swej roli podtrzymywanym przez wielkie mniejszym agenturom (np.: Czechom, stworzonej przez Berlin na poczekaniu „Ukrainie" i t. p.) dostały by się także jakieś ochłapy. Politycznymi wykonawcami planu Kominternu, czy owych legendarnych „siedmiu mędrców Sjonu" stałyby się w ostatecznym rezultacie pewne państwa i ich armje.

W ten sposób — całkiem niewątpliwy, gdyż precedensy już istnieją w niedawnych dziejach od XVIII-go do XX-go wieku — dokonał by się czwarty rozbiór Polski, mającej różne wielkie zalety i atuty, ale grzeszące niepoprawnie po dziś dzień starodawną anarchją szlachetczyzny i psychiką liberum veto, aczkolwiek zmodernizowanego i przybranego w niby demokratyczne marynarki.

Proszę tego nie lekceważyć! Niech zastanowią się nad tem dobrze, zarówno różne czynniki oficjalne, jak zaaferowane „nawałem zajęć" sfery gospodarcze i wogóle całe polskie społeczeństwo. Niech nikt nie posądza nas o zbytni pesymizm i chorobliwą fantazję. Należy tylko dobrze sobie uświadomić, że jeżeli niepodległość Polski, uważana ćwierć wieku temu przez olbrzymią większość społeczeństwa w danych ówczesnych warunkach za fikcję i fantazję, spadła na nas cudem, to i grom czwartego rozbioru może uderzyć w nas niespodzianie jako fakt, aż nadto realny, gdy uprawiać będziemy w dalszym ciągu politykierską i geszefciarską kiereńszczyznę. Z tępym uporem domagają się różne partje polityczne i związki klasowe — reżimem pomajowym chwilowo nieco przyciszone, ale bynajmniej nie naprawione — realizacji jedynie tylko ich egoistycznych, na wskroś antypaństwowych doktryn i programów, które kulminu-

ją właściwie w trzech punktach: zdobycie dla garstki prowodyrów mandatów parlamentarnych, tek ministerjalnych i tłustych posad celem wcale nie demokratycznego napchania sobie kieszeni i rozbijania się po Warszawie i Polsce kosztownemi autami. A wśród tej zakłamanej, nikczemnej zabawy w demokrację i niepodległość, wśród krótkowzrocznego geszefciarstwa sfer gospodarczych, wróg robi swoje planowo, z żelazną konsekwencją i niestety z podziwu godną dyscypliną. Aż pewnego poranku trzaśnie grom i — bodaj tego nie dożyć! — znajdziemy się nagle pod obcym biczem. I wówczas cały świat powie: Niemądry Polak nawet po dawnej szkodzie!

* * *

Dla fragmentalicznej, ale niemniej dosadnej ilustracji stosunków i naszego, polskiego „przysposobienia anty-agenturowego“ przytoczmy niedawny przykład konkretny — jeden z wielu.

Oto Redakcja „Naszej Przyszłości“ wspólnie ze Związkiem Polskiej Myśli Państwowej — poczęści z własnej inicjatywy, a poczęści zachęcona też do tego przez różne, rozumnie myślące sfery w kraju — podjęły planową, dobrze przemyślaną, a zupełnie bezinteresowną inicjatywę zorganizowania porozumienia anty-agenturowego wśród osób i instytucji, zajmujących się tą sprawą i mających w tym zakresie odpowiednie doświadczenie i materjały. W inicjatywie tej zaznaczyliśmy wyraźnie, że nie mamy bynajmniej zamiaru „połknąć“ poszczególne, już istniejące i zasłużone placówki, ale wprost przeciwnie: wzmocnić je właśnie przez wytworzenie odpowiedniego ośrodka porozumiewawczego. A ponieważ w Polsce wymagani są dla każdej sprawy „wybitni fachowcy“, więc też zaprosiliśmy do tej akcji przedewszystkiem „wybitnych fachowców“.

I jakiegoż doczekaliśmy się rezultatu? Oto „wybitni fachowcy“, wyraziwszy na pierwszem zebraniu swą zgodę na podniesioną inicjatywę — i to wyraziwszy ją z prawdziwie polskim, entuzjastycznym ogniem słomianym — zaczęli wnet potem wykręcać rzecz z karygodną drobnostkowością i anarchją na swoją stronę, aż wreszcie po pięciu wielogodzinnych posiedzeniach, uzgodniona niby początkowo z frazeologicznym entuzjazmem sprawa rozleciała się, z wielką oczywiście korzyścią dla... Kominternu i wszystkich legedarnych lub prawdziwych Mędrców Sjonu!

Związek Polskiej Myśli Państwowej da sobie oczywiście sam radę, robiąc niemiłosierną „czystkę“ i to tem bezwzględ-

niej, że mu żadna patentowana fachowość zupełnie nie imponuje. Idziemy zawsze na rzecz, a nie na ludzi, najlepszym fachowcem jest dla nas ten, choćby skromny i maluczki w danym zakresie, ale który wykazuje poczucie dyscpliny i cośkolwiek pozytywnego dla sprawy zrobi. Nie potrzebujemy ciężkich, zarozumiałych a anarchicznie usposobionych mędrców. Ale eksperyment ten, trwający przez cały miesiąc, wykazał nam jasno, jak na dłoni, że nie tylko mniejsi, ale przedewszystkiem najgłośniejsi, najbardziej patentowani „bojownicy" antykomiternowscy i antymasońscy są zupełnie nie wyszkoleni, nie przysposobieni, a węc niezdolni do prawdziwie skutecznej walki z wrogiemi agenturami.

I dlatego sami bierzemy w rękę nie tylko inicjatywę, ale i zdecydowaną dyrektywę w tej ciężkiej sprawie, której największy, najbliższy, najbezpośredniejszy opór stawia wcale nie bolszewizm, masonerja lub światowy judaizm, ale przedewszystkiem anarchja, upór i zarozumialstwo polskie. To trzeba najpierw rozwalić, chcąc potem skutecznie dobrać się do zewnętrznego wroga.

Inaczej niema mowy o zwycięstwie, a nie mamy czasu na obłudne „warszawskie gadanie".

Uczestnik sekcji Z. P. M. P.
walki z obcemi agenturami.

U w a g a. Tendencję i treść powyższego artykułu akceptuje i potwierdza w całości prezydjum Związku.

Dr. Jan Bobrzyński.

Socjaliści na zamku.

Niedawna audjencja, której udzielił Pan Prezydent Rzeczypospolitej kilkunasto-osobowej delegacji Polskiej Partji Socjalistycznej, była z pewnością najważniejszym, najbardziej charakterystycznym wypadkiem ubiegłych kilku tygodni, komentowanym z odpowiednim umiarem przez prasę, ale z daleko mniejszym umiarem przez niepisaną opinję, a raczej plotkę publiczną.

Panowie politycy różnych przekonań i odcieni, z którymi mieliśmy sposobność o tem rozmawiać lub czytać ich wynurzenia, rozmaicie komentowali ten w każdym razie doniosły i znamienny wypadek: izolowanej dwugodzinnej konferencji na Zamku właśnie tylko przedstawicieli polskiego socjalizmu, przypisując tej sprawie rozmaity walor i znaczenie. Ale panowie politycy, jak to oni zwykle, potraktowali to wydarzenie z punktu widzenia polityki aktualistycznej, że tak powiemy: krótkofalowej, a więc przeważnie jako pewną ciekawą „rozgrywkę" o takiem, a takiem znaczeniu i możliwych rezultatach na tle „ bieżącej sytuacji politycznej".

Nas ten punkt widzenia stosunkowo mniej interesuje, zwłaszcza, że jest chyba aż nadto ludzi w kraju, polityków, publicystów i innych działaczy, którzy zajmują się bieżącemi wypadkami dnia politycznego z całą możliwą szczegółowością, a nawet drobiazgowością. Naszą natomiast rzeczą — naszem specjalnem zadaniem — jest traktowanie ewolucji stosunków i ważniejszych wydarzeń w państwie na dłuższej fali. Nic więc dziwnego, że i tę frapującą wszystkie umysły w kraju konferencję socjalistów z Głową Państwa oceniamy również z platformy długofalowej. I cóż nam taka właśnie analiza wykazuje?

Oto przedewszyskiem fakt znamienny, że przed Prezydentem Rzeczypospolitej, kumulującym w swej osobie według

nowej Konstytucji wszelką najwyższą władzę i autorytet w państwie, stanęli, jako pierwsi, socjaliści. A cóż to jest P. P. S.? Ano, jest to ta partja, ta ideologja i ten ruch społeczno-polityczny, które wydały w szeregu ostatnich dziesięcioleci bardzo znaczną ilość wybitnych polityków i innych działaczy — wśród nich zaś wielu gorących ideowców, patrjotów i, powiedzmy otwarcie, bojowników i męczenników za polską sprawę, którzy sprawę tę nie tylko na wiecach, w publikacjach i konspiracjach, ale również i na polach walki krwią swoją przypieczętowali. Nadto nie wolno nam zapomnieć, że z podziemi P. P. S. wyszedł polski ruch niepodległościowy — czyn zbrojny — z Józefem Piłsudskim na czele.

Może więc P. P. S. dobrze się wylegitymować prawem nabytem występowania w polskiej sprawie. Może też z tego tytułu zabierać głos w ważnych momentach nawet na Zamku. Może czynić to także i dlatego, że ma dziś jeszcze wśród siebie znaczną ilość dobrze wyrobionych polityków, wyrastających stanowczo ponad przeciętną miarę pospolitych, partyjnych karjerowiczów i agitatorów. Stąd też zgłoszenie się do pozytywnej współpracy politycznej, złożone Głowie Państwa ze strony P. P. S., która stała w opozycji przez dziesięć lat zgórą, jest rzeczą niemałą w ewolucji naszych stosunków. Ale...

Jest właśnie w tem wszystkiem jedno wielkie „ale". Oto, jakiekolwiek są zasługi P. P. S., w polskiej sprawie, jakąkolwiek jest zewnętrzna rzeczywistość tego stronnictwa i ruchu, wszystko to paraliżuje i stawia stale pod znak zapytania jedna rzecz zasadnicza: że P. P. S. jest w gruncie rzeczy odłamem międzynarodowej idei socjalistycznej, że więc opiera się bądź co bądź na marksowskiej, wywrotowej doktrynie. I tego faktu tej podstawowej rzeczywistości, tkwiącej nie w poszczególnych czynach i taktyce, ale w samej nazwie „socjalizm", nie jest w stanie usunąć żadna argumentacja i żadna legitymacja nawet krzyżami zasługi, zdobytemi na polach walki.

W tym paradoksie między swą nazwą i doktryną — a więc zasadniczym programem — a obfitującą w patrjotyczne zasługi rzeczywistością polskiego socjalizmu leży wielka jego tragedja. Ogólna polska racja stanu musi być z natury rzeczy przeciwna zasadniczemu internacjonałowi socjalistycznemu. Polska opinja publiczna musi — świadomie lub podświadomie — odnosić się z zasadniczą nieufnością do przedstawicieli światopoglądu, w podstawach swych programowych i filozoficznych międzyna-

rodowego, a więc z natury rzeczy antypolskiego. Rdzenna myśl polska, bez względu na różnice przekonań, nie może pogodzić się z tem, żeby wyznawcy programu ideałów międzynarodowych mogli szczerze, bez wewnętrznych zastrzeżeń, a więc integralnie być równocześnie polskimi patrjotami. Ciąży więc nad P. P. S. nieusuwalna klątwa grzechu pierworodnego marksowskiej genezy, która w każdym umyśle nie-internacjonalisty wywoływać musi przeświadczenie, że polskość jest u polskich socjalistów tylko taktyką, tymczasowym środkiem do celu, a rzeczywistością, chwilowo zamaskowaną, jest i może być tylko międzynarodowy socjalizm.

A sytuację tę polskiego socjalizmu pogarsza kolosalnie jeszcze nowoczesna rzeczywistość bolszewicka. Bolszewizm — mówmy jasno: rosyjski imperjalizm komunistyczny — podminował w ostatnich czasach tak dalece najgłębsze korzenie spolonizowanego socjalizmu, że nie podobna dziś już przeprowadzić w polskim świecie socjalistycznym ścisłej granicy, gdzie P. P. S. się kończy a Komintern zaczyna. A ponieważ w dodatku socjalizm w programie swym zasadniczym usuwa, a przynajmniej zaciera, nie tylko pojęcie Ojczyzny bez zastrzeżeń, ale i pojęcie Boga, przeto — wszystko razem biorąc — socjalizm w Polsce, nawet występując pod sztandarem patrjotyzmu, nawet stwierdzając ten patrjotyzm krwią własną w wielu poszczególnych wypadkach, musi być mimo woli żyznym gruntem dla rozwoju wszelkich, wrogich Polsce „obcych agentur".

Nie może więc najmniejszej ulegać wątpliwości, ani dyskusji, że gdyby socjalizm rządził Polską, to — mimo wszelkich indywidualnych jego zasług dla polskiej sprawy, a raczej dla sprawy „ludu polskiego" — byłby dzisiaj kraj nasz i naród w ostatecznym rezultacie zalany potopem różnych złych mocy i może niewiele różniłby się od Sowietów. Nie może też i to ulegać wątpliwości, że, biorąc zasadniczo, polski socjalista o tyle tylko może być patrjotą i czynnikiem współtwórczym w życiu państwowem, o ile podstawowy swój program chwilowo na kołku zawiesi.

Rozumiemy dobrze, że wśród lepszych elementów P. P. S. niema stuprocentowych zwolenników socjalizmu — i że niema takich może w całym kraju.

Procentowość prawowierności względem marksowskiej doktryny jest na ogół bez porównania mniejszą. W wielu wypadkach istotnie tylko taktycznym cieniem. Niemniej jednak i ten

cień nawet jest w zasadzie anty-polski i w razie zbytniego rozszerzenia się na kraj nasz, mógłby się stać groźnym, jeżeli nie z wolą, to co najmniej mimo woli P. P. S. samym faktem i przekleństwem podstawowych zasad teorji socjalistycznej. Socjalizm w istocie swej wyklucza Polskę, chyba że..... nie jest socjalizmem. Ale w takim razie winien to wyraźnie ogłosić i odrzucić jarzmo marksowskiego internacjonału.

Socjalizm, potraktowany nie jako chwilowa rozgrywka społeczno-polityczna (bo tu może nieraz dobre wydać rezultaty), ale na długiej fali, musi przynieść ujemne dla Polski skutki w ostatecznym wyniku. Inaczej być nie może.

I gdy na tej dalekosiężnej staniemy platformie, to nasunąć się nam musi z nieodpartą siłą zagadnienie: czy polski socjalizm może na pierwszym miejscu z kolei wolę polskiego narodu reprezentować? Czy wogóle jest w stanie ją reprezentować, mimo wszelkich zewnętrznych szat i legitymacji patrjotycznych?

A równocześnie druga narzuca się wątpliwość: czy można i należy regenerację jakichkolwiek stosunków w kraju zaczynać od takiej grupy społeczeństwa, która, jeżeli nie w praktyce, to w swych podstawach ma program „Polski z zastrzeżeniem", zmierzający zasadniczo do celów międzynarodowo - proletarjackich? Czy fakt, że ongiś polski sojalizm stał się w specjalnych warunkach obcego zaboru pierwszą odskocznią dla ruchu niepodległościowego, może być traktowany jako logiczny precedens do budowania na nim również pewnego rodzaju odskoczni do uzdrawiania pewnych stosunków w zorganizowanym już i niepodległym państwie?

Odpowiedzą może niektórzy: trudno, ale skoro inne grupy społeczeństwa, o programie rdzennie polskim, okazują się niesforne, anarchiczne, zaciekłe w tępem partyjnictwie, to nie pozostaje nic innego, jak sięgnąć do lepiej wyrobionej i mającej nie jedną piękną tradycję partji socjalistycznej! Może jej przykład pomoże!

Może...... Ależ jeżeli tak, to anarchiczna rzeczywistość i przekleństwo liberum veto ogółu społeczeństwa polskiego staje przed nami w rozmiarach prawdziwie tragicznych! Czyż dla konsolidacji narodowej w obliczu powagi sytuacji, jaka kraj nasz otacza, nie mamy innego sposobu, ani wspólnego języka, ani właściwszego pośrednika, jak wyznawców bądź co bądź marksowskiej doktryny?!!!

Konkluzja: audjencja socjalistów na Zamku, łącznie z defi-

ladą Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych w czasie uroczystości niepodległościowych 11-go listopada, to wielki sukces polityczny na krótszej fali dla tych wszystkich, którzy się do tego sukcesu przyczynili — ale to zarazem druzgocące świadectwo na dłuższej fali dla całej reszty społeczeństwa, które z jakichbądź powodów oddaje pierwszeństwo w ręce socjalistów. I to w kraju, w którym stosunkowo niewielki rozwój przemysłowy wcale nie stwarza potężniejszych podstaw dla socjalizmu!

Najciemniejsza strona sprawy żydowskiej.

Jak dobrze wiadomo naszym czytelnikom, nie uprawiamy antysemityzmu. Nie dajemy się bowiem przez nikogo sprowokować. Są jednak fakta, nagie, bezsporne fakta w sprawie żydowskiej, których nie trzeba pomijać dyplomatycznem milczeniem i to właśnie dla dobra polsko-żydowskiej sprawy.

Jednym z faktów, któremu nie podobna zaprzeczyć, jest przygniatająca większość Żydów w różnych antypolskich akcjach i organizacjach, a przedewszystkiem w komuniźmie. Faktem jest, niezliczone razy sądownie stwierdzonym, że w każdej, wykrytej przez władzę jaczejce bolszewickiej w Polsce figuruje co najmniej osiemdziesiąt lub dziewięćdziesiąt procent Żydów i ...... Żydówek!

Np. w ostatnim procesie przeciw redaktorowi komunistycznego pisma „Życie" w Białymstoku zasiadło na ławie oskarżonych osiemnastu Żydów i Żydówek, a jeden tylko Polak, zanotowany oficjalnie jako rzymsko-katolik.

I tak jest wszędzie. Niechże więc społeczeństwo żydowskie nie ma za złe społeczeństwu polskiemu — zwłaszcza szerszym, bardziej porywczym jego sferom, — że coraz większy antysemityzm ogarnia Polaków i to już nie tylko ultra-nacjonalistyczne koła endeckie, ale niemal wszystkie ugrupowania. Trudno wymagać od społeczeństwa polskiego nadludzkiej cierpliwości i liberalizmu, jeżeli faktem jest niezbitym, na szeroką skalę powszechnie i codziennie stwierdzonym, że bolszewizm jest w Polsce w rękach żydowskich, z bardzo małym tylko dodatkiem Polaków. A i wśród tych Polaków większość stanowią przechrzty. Rdzenni Polacy, należący do jaczejek, są wyjątkiem. Oczywiście nie mówimy tu o szerszych masach polskich, chwilowo zwabionych do komunizmu złotemi obietnicami, wspomaganemi biedą i bezro-

bociem. Głód jest złym doradcą i obiecując głodnym złote góry, można ich przyciągnąć nie tylko do partji komunistycznej, ale nawet i do prostego bandytyzmu. Są to jednak tylko chwilowo otumanione szeregi, które przynależność do partji traktują poprostu jako rozpaczliwy środek do zdobycia kawałka chleba.

Ale chodzi nam tu o uświadomienie, kierujące żywioły bolszewickie w Polsce. A te są niemal całkowicie żydowskie.

Czy mogą polscy Żydzi temu zaprzeczyć? Oczywiście nie. I dlatego zamiast uskarżać się pompatycznie na rozbujały dzisiaj antysemityzm, niech postarają się Żydzi przedewszystkiem o zgniecenie w komuniźmie elementu żydowskiego. Niech złożą realny dowód, że potępiają na serjo bolszewicką zarazę. Niech nie wymawiają się, że nie są w stanie tego uczynić, że Żydzi komuniści to niby „bezwyznaniowcy", na których rabini i inne sfery żydowskie niby nie mają wpływu i t. d. i t. d.

Stanowczo oświadczamy, że temu nie wierzymy, znając dobrze wyszkoloną wielowiekową praktyką „spoistość roju" żydowskiego narodu. Jesteśmy bezwzględnie przekonani, że gdyby Żydzi na serjo tego nie chcieli, to nie byłoby udziału Żydów w naszym bolszewiźmie, poza bardzo nielicznymi wyjątkami. Ale niech nam nikt głowy nie zawraca, że jeżeli na dziesięciu uświadomionych komunistów w Polsce jest z reguły dziesięciu Żydów lub żydowskich „bezwyznaniowców", to inni Żydzi nie ponoszą za to żadnej odpowiedzialności. Faktem jest, że Marks był Żydem, że oprócz Lenina i Dzierżyńskiego — niemal wszyscy twórcy bolszewizmu byli Żydzi, i że z Żydów rekrutuje się olbrzymia, kierująca większość komunistów na świecie.

I dlatego można potępiać zbyt rozwydrzony dzisiaj nacjonalizm i hitleryzm i faszyzm, a wyznawać liberalny pogląd na problem żydowski w Polsce — ale nie podobna i nie wolno zamykać oczu na fakt, że największą, decydującą pożywką dla rozwoju bolszewizmu jest społeczeństwo żydowskie, jako całość bo — powtarzamy — gdyby nie chciało, to nie byłoby Żydów w jaczejkach bolszewickich i komunizm zmalałby w Polsce do nieznacznych rozmiarów.

Ponieważ niestety dzieje się inaczej i komuna rośnie w Polsce — specjalnie w Polsce, w tym największym azylu Żydów — głównie dzięki personalnemu poparciu żydowskiego żywiołu, więc niechże ogół polskiego żydostwa nie dziwi się, że do frontu nacjonalizmu i antysemityzmu zaczynają się zbliżać z koniecz-

ności nawet ci z pośród Polaków, którym jeszcze niedawno o nienawiści do narodu żydowskiego nawet się nie śniło.

I wogóle z całą możliwą bezstronnością, ale i w imię prawdy skonstatować należy, że — rzecz dziwna — we wszelakich antypolskich organizacjach, konspiracjach, ruchach i zamierzeniach biorą z reguły zbyt wybitny, zbyt liczny i jaskrawy udział Żydzi. Oczywiście nie wszystkie ich sfery, niemniej jednak znaczne odłamy, a zwłaszcza te, które kulturalnie, politycznie i gospodarczo stanowią niejako elitę dzisiejszego żydostwa. Faktem jest, że gdziekolwiek w kraju lub zagranicą knuje się coś niedobrego dla Polski, to nie trudno wyśledzić i wykazać w tem znaczny udział żydowskiej polityki i żydowskiego kapitału.

A są to rzeczy, których dla dobra sprawy polskiej i żydowskiej zarazem przemilczeć dłużej nie należy. W tak masowych zjawiskach zbyt subtelna taktyka przemilczania, zatuszowywania i tchórzliwego tolerowania fatalne przynieść musi rezultaty. Nie załagodzi sprawy, a tylko rozjątrzać ją będzie na coraz większą skalę. Tak tu, jak i gdzieindziej, tylko śmiałe, rzetelne wyłożenie prawdy na stół może przywieźć ludzi do opamiętania, spowodować wycięcie ropiących wrzodów i przynieść stopniowo racjonalizację i poprawę stosunków. Tolerancja ułomności natury ludzkiej jest nieraz wskazana, ale nigdy tolerancja złej woli i to z całą premedytacją stosowanej.

Nie zatrzymując się narazie dłużej nad tym tematem, który znacznie dokładniejszego wymaga omówienia, twierdzimy w tej krótkiej notatce tylko, że Żydzi polscy zamiast wciąż skarżyć się hałaśliwie na swój los i domagać się jakichś specjalnych praw i przywilejów, winni przedewszystkiem dobrze zastanowić się nad zagadnieniem, czy są dla Polski czynnikiem dodatnim, czy ujemnym i czy ich wyrobiona specyficzna mentalność i niemniej specyficzna etyka dadzą się na dłuższą metę bezkarnie pogodzić ze stosunkami i wymogami oświeconego bądź co bądź XX-go wieku, gdy przecież ludzie już doskonale orjentują się w tem, co, kto, jak i dlaczego?